Nr. 25 (1069). Warszawa, dnia 9 (22) Czerwca 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie. miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50. rocznie rb. 10.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentów półrocznych i kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

MOWA PRINETTIEGO.

Dnia 10 b. m. rozpoczęły się na Monte-Citorio rozprawy nad budżetem ministeryum spraw zagranicznych. W tym roku zajęły posłów mających własne głowy na karkach głównie dwie sprawy: paląca w Chinach i drażniąca w Austro-Węgrzech. W Chinach Włochy poniosły były klęskę jeszcze przed najazdem europejskim na Państwo Środka. Dyplomacya, zdaje się, francuska, nie pozwoliła im zająć terytoryum nadmorskiego, z którego chciały urobić sobie włoskie Kiao-Czau. Gdy przyszedł odwet zbiorowy, nie opierał się nikt ich materyalnemu uczestnictwu: walczyli i Włosi z bokserami, choć im się żadna od nich krzywda nie stała, sama bowiem godność wielkiego mocarstwa wymagała dopuszczenia do chóru. Chciano się więc zapoznać bliżej i z melodyą i z harmonią wykonanej kompozycyi. Co do Austryi, jest ona przedewszystkiem dla Włoch — Austryą, a dodatkowo tylko dla Włoch— sprzymierzeńcem: ma przytem chętkę zaokrąglenia się od Albanii ponad wązkim Adryatykiem, nawprost Włoch i daleko za Dalmacyą, która, w razie zaspokojenia apetytu austro-węgierskiego, jeszcze głębiej wdeptaną by została w grunt polityczny monarchii habsburskiej. Sam hr. Gołuchowski w delegacyach poruszył uśmierzająco wprawdzie, ale w każdym razie w ruch wprawił temat Albanii.

Musiano się tedy wygadać. Kilkudziesięciu posłów zażądało głosu. Kilkunastu wylało swe potoki już pierwszego dnia rozpraw; na dalsze pozostało jeszcze przeszło dwudziestu. Minister spraw zagranicznych, Prinetti, miał już 12 b. m. wystąpić z wielką mową, ale tok rozpraw, treść ich, dążność, osobiste nawet przytyki i podjazdy zmusiły go do opóźnienia występu o dwa dni, do 14 b. m. W sprawie chińskiej położył nacisk na przystąpienie Włoch do umowy anglo-niemieckiej z d. 16 październiknika r. z., która „nie dąży do terytoryalnego uszczuplenia Chin." Włochy zostawiły swą załogę w Tien-tsinie, będą ją miały może i w innych punktach. Pomiędzy Włochami a Anglią nie było żadnych osobnych umów ani w tej, ani w innych sprawach; przyjaźń z dawniejszych jeszcze czasów wystarczyła w potrzebie.

Nikt w sejmie nie objawił niezadowolenia z takiego stanu stosunków dyplomatycznych i położenia politycznego na Wschodzie. Ciężej było z trójprzymierzem, z Austro-Węgrami. Mowy poselskie wrzały przeciw niej narodowym gniewem, oględniej lub śmielej, ale się z nich dobrze wyczuwało ton zasadniczy duszy włoskiej. Barzilai przypomniał Prinettiemu mowę z r. 1891 przeciwko trójprzymierzu — i zapędził go w ostęp. Nie dać się wziąć — zadanie niełatwe; tem trudniejsze, że podobno p. Prinetti mówcą nie jest, a w tym wypadku i największy nawet mówca bez sofistyki, bez kłamstwa, poradziłby sobie nie mógł.

Jest też tej sofistyki sporo w samoobronie ministra. Przed dziesięciu laty — mówił — trójprzymierze wskutek raczej indywidualnych skłonności ludzi kierujących polityką, niż wewnętrznych nakazów w samej ugodzie tkwiących — nabrało odcienia nieprzyjaźni dla Włoch. Można było wówczas na trójprzymierze zwalać odpowiedzialność za czyny i wypadki, które obrażały uczucia jednego z wielkich narodów i przez to groziły interesom włoskim pokrzywdzeniem. Takimi faktami były: osłabnięcie stosunków przyjacielskich z Francyą, toczenie z nią wojny polityczno-handlowej; powiększenie budżetu wojennego ponad siły ekonomiczne Włoch. Od dziesięciu lat zmieniło się to na lepsze: Włochy mogły zmniejszyć swe nakłady na uzbrojenia, przymierze polityczne wzmocniło się traktatami handlowymi, stało się serdeczniejszem, szczerszem, tak, że wreszcie przekonano się, iż serdeczne stosunki z Francyą nie są bynajmniej węzłom trójprzymierzowym przeciwne. Dowiódł tego Tulon; poznano, iż między Włochami a Francyą niema zasadniczej niezgodności interesów; poddano się przyjaźni, która łączyć powinna oba narody tak pokrewne sobie rasą, duchem i dążnościami. Trójprzymierze przez lat dziesięć stawało się coraz bardziej pokojowem. Dało ono polityce włoskiej grunt twardy, przyczyniając się jednocześnie do zabezpieczenia pokoju w Europie.

Ku Albanii zwracają się oba państwa, Austrya i Włochy, ze swą kulturą i cywilizacyą, oba też zacieśniają węzły swoje z tym krajem. Ani Włochy, ani Austrya nie mają z Albanią kłopotu. Oba mocarstwa patrzą na jej rozwój z jawnem zadowoleniem, a bez ukrytej myśli. Oczywiście, mającemu własne myśli do ukrycia, inaczej mówić nie wypadało: wiadomo, że ma i Austrya węża w zanadrzu, zwłaszcza Węgry. Bośnia i Hercegowina wydają się dopełnieniem Kroacyi, do czasu tylko przedzielonej Dalmacyą. Sami nawet Niemcy *germanissimi* w Austryi oddają Bośnię i Hercegowinę Węgrom. Może to być skóra niedźwiedzia jeszcze na niedź.

wiedziu, ale jest już apetyt, są ręce gotowe do jej zdarcia. Tak samo znowu w stosunku do Francyi muszą się Włochy, pomimo swego Tulonu, przyjuźni, rasy i ducha jednego — taić z zamysłami na Trypolitanię, gdy jej odrazu po traktacie w bardo tunetańskim w sferę swoją wciągnąć nie zdołały. Mówiąc jednak o morzu Śródziemnem, wspomniał Prinetti i o dawnem bejowstwie. Zaręczeniem, że Włochy będą zawsze przemawiały za pokojem i zgodą — ogólnikiem absolutnie z wszelkiego odartym znaczenia, zakończył minister swoje solo. Izba poodrzucała wiele wniosków o przejście do porządku dziennego, zanim przyjęła zaproponowany przez Muzzattiego: aby zostawić rządowi wszelką swobodę w sterowaniu nawą polityczną międzynarodową. Izba wiedziała, że rząd w chwili danej będzie chciał i umiał — a umieć nie trudno — narodową nienawiść Włochów z pomocą jednego sprzymierzeńca wywrzeć na drugiego: a to właśnie najważniejszy punkt programatu narodowego.

Tydzień polityczny. Stany Zjednoczone zaniechały już oporu przeciwko kontrybucyi 450 mil. taelów, narzuconej Chinom; myślały o powołaniu sądu w Hadze do ustanowienia sumy. Teraz przystają na podniesienie ceł o 5%, Europa chce 10%. Wojska odjeżdżają. Zatarg w Tien-tsinie na ulicy Taku, a nie w samem Taku, bez doniosłości politycznej. Chiny schodzą z estrady. To, coby teraz stać się mogło, wypełni już drugą część koncertu.

We Francyi prawo o stowarzyszeniach, a mianowicie dział o kongregacyach, na pierwszym planie. Senat uchwalił dwa pierwsze artykuły, odrzuciwszy wniosek Rambaud'a, aby każde stowarzyszenie każde przedsiębiorstwo, każda spółka, rozpostarta i za granicą, prosiła o upoważnienie; wnioskodawca obawia się zalania Francyi przez cudzoziemców. Waldeck-Rousseau d. 15 b. m. zbijał żądania i obawy, mówiąc, że nienawiść do żywiołów obcych jest uczuciem przestarzałem. Komisya budżetowa Izby oświadczyła się nareszcie za opodatkowaniem dochodu od 2,500 fr. rocznie w górę w stosunku rosnącym 1—13%. Prawdopodobnie Izba będzie widownią walki, ale i zwycięztwa dobrej sprawy. Chciano podatku już od r. 1902; byłaby to przecież jazda zbyt kawalerska. Można poczekać do 1903, bo nawet i prędzej roboty wykończyć nie będzie można, jak za rok.

Krüger porozumiewa się od 10 b. m. z dowódcami transwalskimi w Afryce, a jednocześnie p. Botha naradza się z nim w Europie. Narady są przeważnie opisami, misya zaś samozwańczą, a co najwyżej jednostronną: od Ludwika Bothy i Kitchenera, który w orędownictwie pokoju wyjątkową ufność pokłada. Boerów pod bronią ma być jeszcze 17,000 — przypuśćmy, że przeszło 10 tys. — mężnym i to wystarczy do podtrzymania wojny. Oprócz zwycięztwa pod Vlakfontein, odnieśli świeżo inne pod Steenkolspruitem.

P. Zinowjew miał d. 13 b. m. posłuchanie w cztery oczy u sułtana w sprawie Macedonii. Nazajutrz O Connor, poseł angielski, w tej samej sprawie rozmawiał z Abdul Hamidem: chodzi o reformy: Macedończycy chcą własnego państwa. W Sofii dopominają się wypuszczenia Sarafowa jako najlepszego na kierownika. Komitet macedoński w Sofii nie był nigdy rozwiązanym; rząd go tylko przez aresztowania unieruchomił.

Na Krecie zgromadzenie narodowe ma przeciwko sobie nietylko Turcyę, ale Europę. Konsulowie wręczyli ks. Jerzemu notę wzywającą do spokojności. Ks. Jerzy ma się podać do dymisyi w końcu swego urzędowania: nowy ruch na wyspie pewny.

Cesarz austryacki d. 12—17 bawił w Czechach, do 16-go w Pradze, potem w Usti (Aussig) i w Litomierzycach.

Sejmy krajowe d. 17 b. m. zagajone. We Lwowie mowa namiestnika ocieka optymizmem. Posiedzenia potrwają trzy tygodnie.

W Berlinie przed gmachem sejmowym odsłoniono d. 16 b. m. pomnik dla Bismarcka: będzie czem wzrok nasycać.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC

Berlin 18 czerwca.

Gdy Bismarck przyjmował pewnego razu u siebie w Warcinie deputacyę swych zwolenników, pasując ich na rycerzy zakonu H. K. T., radził im zaostrzenie walki z Polakami, a przedewszystkiem, ażeby starali się wyplenić z serc niemieckich ostatnią odrobinę sympatyi dla tych „odwiecznych wrogów ojczyzny.“ Jeśli dziś wziąć do ręki gazety niemieckie, to wynosi się mimowoli wrażenie, iż słowa najzawziętszego naszego wroga, który, jak wykazały jego pamiętniki, w najkrytyczniejszych dla nas chwilach przystawał chętnie z pewną cyniczną radością do obozu naszych nieprzyjaciół, stanowczo nie poszły w las. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby pewnego dnia *Post* Stamma lub *Deutsche Zeitung* hakatystów zaproponowały wydelegowanie Waldersee'go z niezwiędłymi jeszcze wawrzynami chińskimi na głowie do Księstwa Poznańskiego w roli dyktatora i naczelnego wodza armii obronno-zaczepnej dla wytępienia „bokserów słowiańskich.“ Co prawda, można przytoczyć jako wyjątki kilka gazet niemieckich, stale broniących Polaków. Co można np. zarzucić pod względem odwagi, szczerości i poczciwości następującemu ustępowi, skreślonemu przez słynnego bawarskiego prusakożercę Sigla. Przytaczając listy pożegnalne Miquela do towarzystwa „H. K. T.,“ gdzie dymisyonowany komedyant radził uderzyć na Polaków zwartym szeregiem katolicko-ewangelickim, Sigl dodaje od siebie. „Recepta Miquela ma więc na celu nie walkę przeciwko Polakom, ale „tylko“ wytępienie narodowości polskiej.“ „Tatuś“ Miquel jest także założycielem (?) t. zw. funduszu kolonizacyjnego, który, pomimo swego skąpstwa, zaopatrzył w bogate środki, gdyż aż w 200 mil. marek. Jeśli w jakimkolwiek kraju, gdzie Niemcy stanowią mniejszość, nadepcze ktoś bezczelnemu Prusakowi na nagniotek, to nasi „narodowcy“ wrzeszczą natychmiast w niebogłosy o prześladowaniu niemczyzny. Jeśli jednak tępi się polskość, która dla cywilizacyi zrobiła nie mniej od prusactwa, to taką działalność nazywa się „pracą kulturalną.“ Wobec tego trzebaby doprawdy wstydzić się, iż się jest Niemcem.“ Nieco mniej jaskrawe ustępy można spotkać we *Frankfurter-Zeitung*, *Volsk-Zeitung*, *Vorwärts* i kilku innych. Większość prasy natomiast zachowuje się albo zupełnie obojętnie wobec całej sprawy, o ile nie może zaprezentować czytelnikowi kilku rasowych kaczek dziennikarskich z wylęgarni hakatystycznej, albo też podszczuwa przeciwko Polakom systematycznie przy każdej sposobności. A tej ostatniej nigdy nie brak. Łatwo się domyśleć, jakiego hałasu narobiły zajścia we Wrześni, przekręcone w najkarygodniejszy sposób przez rycerzy szowinizmu. Jeśli oddzielić pierwiastki mitologiczno-plotkarskie, to znane wypadki przedstawiają się właściwie mniej więcej tak. Stosunek dzieci wrzesińskich

---

MAKSYM GORKIJ.

MAKAR CZUDRA

—✻ BAJKA. ✻—

(Dokończenie).

— Ehe! Zobar! Toć to ty! — krzyknął wesoło Danilo.

— Oto Łojko Zobar!

Wąsy oparły mu się o ramiona, gubiąc się w kędziorach, co były jak stal dźwierowana, oczy płoną, jak gwiazdy jasne, uśmiech — jak słońce całe, Bogiem się świadczę! Jakby go razem z koniem kowale z jednego kawała żelaza wykuli. Stoi oto, niby we krwi, w płomieniach ogniska i śmieje się, zębami błyska. Ehe, niech przepadnę, jeślim go już nie kochał, jak siebie samego, nim jeszcze słówko rzekł do mnie lub bodaj spostrzegł, że ja też żyję na świecie białym!

Tacy bywają ludzie, sokole! Spojrzy ci w oczy, a już dusza twa do niego należy, i nie wstyd ci wcale, nawet pysznisz się tem. Przy takim człowieku odrazu lepszym się stajesz. Mało jest, bracie, takich ludzi! Dobra i to, choć mało. Niechby dużo dobrego było na świecie, to i tego nie mianoby za dobre. Tak to! Ale słuchaj dalej.

Tedy Radda powiada: Pięknie grasz, Łojko! Któż ci to zrobił skrzypce takie dźwięczne i tkliwe? — Śmieje się Łojko: Sam robiłem! I zrobiłem je nie z drzewa, ale z piersi młodej dziewczyny, którą silnie kochałem, a struny tom z jej serca upłótł. Fałszują jeszcze trochę skrzypce, ale za to smyczek dobrze umiem w ręku trzymać! Widzisz?

Chłop, wiadomo, odrazu stara się dziewce oczy mgłą przesłonić, by nie zapaliły mu serca, lecz przeciwnie, by je smutek po nim otulił. Więc i Łojko tak samo. Nie na taką jednak trafił. Radda odwróciła się i, ziewając, rzekła:

— Gadali, że Zobar mądry i sprytny; otóż kłamią ludziska — i poszła.

— Ehe, krasawico, ostre masz ząbki! — błysnął oczyma Łojko i zsiadł z konia. — Jak się macie, bracia! Do was przybywam.

— Witaj, gościu, orle! — odparł Danilo.

Ucałowali się, pogadali i spać pokładli... Mocno spali. Zrana, patrzymy, Zobar ma łeb szmatą przewiązany. Cóż to? A to koń go śpiącego kopytem skaleczył.

Ee! Zrozumieliśmy, co to za koń, i uśmiechnęliśmy się, i Danilo uśmiechnął się pod wąsem. Bo cóż, czyż Łojko nie wart był Raddy? Ale gdzie tam! Niech sobie dziewka będzie najpiękniejsza, ale jeżeli duszę ma ciasną i płytką, to choćbyś jej na szyję pud złota nawiesił, to już wszystko jedno, nie stanie się lepszą, niż jest. No, dobra!

Żyjemy więc sobie, żyjemy wciąż na tem samem miejscu. Dobrze się nam wtedy działo, i Zobar był z nami. To był kamrat! I mądry był jak starzec, i świadom wszystkiego, i książki rozumiał ruskie i węgierskie. Bywało, jak pocznie prawić, to i spać się nie chce, tylko słuchać go! A grał ci — niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli jeszcze ktoś na świecie tak grał, jak Zobar! Pociągnie ci smyczkiem po strunach — to serce podskoczy, jeszcze raz pociągnie — to zamrze serce, słuchając, a on gra i uśmiecha się. I płakać i śmiać się chciało naraz, słuchając jego pieśni. Oto jęczy ktoś z pod smyczka żałośnie, jęczy, błaga o pomoc i szarpie ci pierś, jakby nożem. To znowu stepy prawią niebu gadki ciche, tęskne. Płacze dziewczyna, żegnając mołojca-junaka! Junak-mołojec dziewczynę do stepów na schadzkę woła! Wtem nagle — hej! Grzmi piorunem pieśń wolna, żwawa, aż słonku samemu, patrzaj, tańczyć się zachciało po niebie na jej nutę. Tak to, sokole!

Każda żyła w ciele rozumiała tę pieśń

do nauczycieli odznaczał się wielką serdecznością aż do czasu wydania znanych rozporządzeń o wykładzie religii w języku niemieckim. Do rzeczy wzięto się systematycznie, z pewną przebiegłością, powiedziałbym premedytacyą. Wykładano zatem przez pewien czas religię po niemiecku, nie zadając dzieciom ani pytań, ani lekcyj do domu. Po trzech tygodniach posunięto się o krok naprzód, ale dzieci na stawiane im pytania nie dawały wcale odpowiedzi. Wtedy przedłużono okres przygotowawczy jeszcze o trzy tygodnie. Po upływie zaś tego terminu chciano gwałtem zmusić dzieci do odpowiedzi, a gdy słowa nie podziałały, zastosowano na szeroką skalę chłostę i areszt szkolny. Chłostano tak przez kilka tygodni bez pardonu, niby bokserów lub innych wrogów ojczyzny, ale niestety ten humanitarny system nie oddziałał na przekonanie i usposobienie dziatwy szkolnej. Pewnego dnia zadano dzieciom kilka zwrotek kościelnej pieśni niemieckiej. Rezultat był znowu bezcelowy. Skazano dzieci na godzinę kozy szkolnej w nadziei, iż przez ten czas nauczą się tekstu. I ten sposób zawiódł. Zawiadomiono tedy inspektora o bezskuteczności poleconej przezeń metody. Ten zjawił się, a gdy dzieci oświadczyły, iż nie będą się uczyły religii katolickiej po niemiecku, wtedy rada szkolna postanowiła udoskonalić swą metodę i powiększyć dotychczasową homeopatyczną dozę chłosty. W szkole podniósł się podczas pedagogicznej rzezi niemowląt rozdzierający serce płacz, który spowodował zbiegowisko zaniepokojonej ludności. Że żadnych zaburzeń absolutnie nie było, świadczy fakt, iż policya aresztowała tylko trzy osoby. Lecz łatwo było przewidzieć, że prasa szowinistyczna rozedmie zajście to do rozmiarów „krwawej bitwy“ i Bóg nie wie czego. Trudno jednak wyobrazić sobie, jak dalece oślepia i ogłupia nienawiść rasowa. Można byłoby przypuszczać, iż wypadki wrzesińskie oddziałały wprost na stan umysłowy szowinistów. Bo oto np. jeden z kamerdynerów literackich armaciarza Kruppa roztrząsa pod wrażeniem zaszłych faktów zupełnie na seryo pytanie, czy Polacy zdradzą Niemców w razie wojny Niemiec z którymkolwiek państwem sąsiedniem. Oto co w swej malignie patryotycznej pisze sługus dziennikarski: „Księstwo Poznańskie ma pod względem strategicznym doniosłe znaczenie dla Prus... Rzecz główna, iż Prusy w swych prowincyach polskich muszą bronić setek tysięcy Niemców przed nacierającymi Polakami, a tymczasem polscy poddani Prus są w większości wypadków ludźmi, którzy bez namysłu przy nadarzającej się sposobności przejdą do nieprzyjaciół naszych. Jakkolwiek wielką jest antypatya Polaków względem wszelkich innych narodowości, to jednak nie dorównywa ona ich nienawiści do Prusaków... W razie wojny nic nie będą oni mieli przeciwko temu, ażeby Prusy wschodnie przeszły do innego państwa...“ itd. itd. w tym samym tonie. Słowem — *quasi una fantasia*.

Materyału podżegającego i podniecającego zarówno wyobraźnię, jak nienawiść, oczywiście nie brak. Tak np. w tych dniach ogłosiła słynna „Katowicerka“ statystykę, która przejęła zgrozą teutończyków i zniewoliła prasę niemiecką do patryotycznego okrzyku: *Caveant consules*! Statystyka ta świadczy, iż Ślązk jest bezpowrotnie stracony dla Niemiec i że półtorawiekowe wysiłki germanizacyjne poszły zupełnie na marne. Party żywiołową siłą konieczności, wycieńczony i wyprowadzony z cierpliwości uciskiem, gwałtem wraca on stopniowo na łono polskości. Statystyka wspomniana wykazuje mianowicie niezbicie, iż dzieci Górnoślązaków mówią już dziś w domu po polsku. Fakt ten oszałamiający wydobyli na światło dzienne nauczyciele zabrskiego powiatu, chcąc, na dowód swej czujności prawomyślnej, na własną rękę, za pomocą ankiety, stwierdzić ogrom niebezpieczeństwa polskiego. Ślązk do ostatnich czasów uchodził w oczach Niemców za kraj rdzennie teutoński; wszak jeszcze przed 20—30 laty wyraz „Polak“ bywał tam obelgą, a tymczasem dziś, jak wykazała statystyka wspomniana, 50% dzieci szkolnych uczy się w domu po polsku, a 30% tego kontyngensu dopiero niedawno przystąpiło do tej nauki, widocznie pod wrażeniem antypolskich rozporządzeń ministra Studta. Połowa posiada dość biegle język ojczysty, a reszta doskonale. W większości rodzin są prenumerowane gazety polskie (przeważnie ultramontański *Katolik*), pozostała część delektuje się wciąż jeszcze lekturą niemiecką. Wrażenie prawdziwie sensacyjne sprawił fakt, iż tylko piątej części wciągniętych do ankiety dzieci wolno było w domu posługiwać się mową niemiecką, reszcie zaś zostało to przez rodziców surowo zakazane. Dowiedziano się przy tej sposobności, iż niektórzy rodzice dają dzieciom zły przykład, klnąc Niemców, na czem świat stoi. Chyba ta statystyka otworzyła nareszcie oczy tym Niemcom, którzy wierzyli w możliwość germanizacyi i dalszego ciosania kołków na cierpliwych Ślązakach, a z drugiej strony przekonała potulnych ugodowców z polskiego obozu, iż wojna została już wypowiedziana i przyjęta nieodwołalnie na całej linii.

Nie od rzeczy będzie rzucić tu jeszcze spojrzenie, jak w przeddzień „wielkiej bitwy narodów“ przedstawiają się siły „bojowe“ Polaków, rozproszonych po Niemczech. Czy instytucye polskie są w stanie podjąć skuteczną walkę w obronie języka swej narodowości przeciwko germanizacyjnym zakusom rządu niemieckiego? Ażeby otrzymać odpowiedź na to pytanie, K. Rakowski, zasłużony badacz życia polskiego w Niemczech, sporządził statystykę polskich towarzystw w Niemczech, a wyniki swych badań ogłosił w organie poznańskim *Praca*. Otóż liczba tych instytucyj wynosi podług Rakowskiego w Niemczech 300 z górą, lecz zaledwie połowa może oddać przysługi w walce z żywiołem germańskim, albowiem większość ich bądź służy sprawom religijnym, bądź poświęca się wyłącznie rozrywkom. Przeciętne towarzystwo polskie liczy 50—80 członków, posiada w bibliotece swej mniej więcej 85 książek i 5 gazet. Co się zaś tyczy pochodzenia członków, to pierwszeństwo należy się Poznańczykom, stanowiącym 75% ogółu. Dalej idą Ślązk, Prusy zachodnie i wschodnie, Królestwo i Galicya. Taki jest skład towarzystw polskich, rozproszonych po obszarze państwa niemieckiego, ale z tych cyfr nie można wysnuć bezpośrednich wniosków o pochodzeniu wychodźców polskich, osiadających w prowincyach niemieckich. Albowiem Poznańczycy, jako żywioł pod względem kulturalnym wyżej stojący, chętniej garną się do życia towarzyskiego od Polaków z innych dzielnic pruskich. Prawdopodobnie zatem emigracya polska do Niemiec składa się tylko w 60% z Poznańczyków. Ślązk dostarcza 22% wychodźców, a Prusy Zachodnie i Wschodnie 18%; 70% członków stowarzyszeniowych rekrutuje się z wieśniaków, ale biorąc pod uwagę fakt, iż stan ten nie grzeszy zbytnio duchem towarzyskim, należy udział jego w wychodźtwie oznaczyć 80%. Większość towarzystw powstała po r. 1890 i od tego roku w ogóle datuje się silny odpływ Polaków do prowincyj niemieckich. Przeważnie wywędrowali ludzie młodzi, którzy w miejscach rodzinnych nie znaleźli dla siebie odpowiedniego zajęcia. Na obczyźnie wstąpili oni jako

---

i kto tylko jej słuchał, stawał się jej niewolnikiem. I gdyby Łojko wtedy krzyknął: „do noży, bracia!“, tobyśmy wszyscy poszli z nożami na każdego, kogo by jeno wskazał. Wszystko mógł on z człowiekiem zrobić, i wszyscy go też kochali, mocno kochali, tylko Radda jedna nie zważała na chłopca; gdybyż tylko to, ale gdzie tam, nawet drwiła z niego. Silnie opętała dziewka serce Zobara, oj silnie! Łojko zębami zgrzyta, wąsy strzępi, oczy jak otchłań się ciemnią, a czasem to w nich coś takiego błyśnie, że o duszę bojaźń chwyta.

Pójdzie, bywało, nocą w stepy dalekie Łojko dzielny, i płaczą tam aż do rana skrzypce jego, płaczą o pogrzebanej wolności Zobara. My zaś leżymy, słuchamy, a myślimy: co będzie? Toć wiemy, że gdy dwa kamienie wzajem ku sobie się toczą, to pomiędzy nimi stawać nie wolno, bo zmiażdżą. Czekamy więc.

Siedzieli my raz w kupie i o różnych sprawach gadali. Tęskno się zrobiło, więc Daniło prosi Zobara:

— Zaśpiewaj, Łojko, piosenkę, rozraduj duszę!

Ten wzrok utkwił w Raddę, która tuż obok niego twarzą do góry leżała i w niebo patrzała, i powiódł smyczkiem po strunach. I przemówiły skrzypce, jakby naprawdę były sercem dziewczęcem. Zaśpiewał Łojko:

Hej — hop! w mej piersi ogień wre,
Stepy tak biegną w dal!
Jak wicher, tak mój rumak mknie,
A ramię ma jak stal!

Spojrzała nań Radda i, zbliżywszy się, parsknęła śmiechem w twarz śpiewakowi. Zapłonął niby zorza.

Hej — hop! pomkniemy szukać dnia!
Hej, koniu, bracie mój,
Stepy otula gęsta mgła,
Zaś tam hen — światła zdrój!

Hej — hop! a szybko, żwawo mknij!
Hej, do tych niebios bram!
Nie trać po drodze jeno swej
O księżyc blady tam!

Ale śpiewał! Teraz nikt już tak nie śpiewa! A Radda rzeknie, jakby wodę cedziła:

— Nie bujaj tak wysoko, Łojko, jeszcze może spadniesz do jakiego błota, nos i wąsy sobie powalasz, uważaj!

Dziko zerknął na nią Łojko, ale nic nie powiedział — przełknął te słowa i śpiewał dalej:

Hej — hop! Wtem wzejdzie nagle świt
I w śnie zastanie nas.
Ej — hej! Toć wtedy obu wstyd
Płomieniem pożre wraz!

— Wspaniała pieśń! — rzekł Daniło — nigdy nie słyszałem takiej; niech ze mnie szatan sobie fajkę zrobi, jeżeli kłamię!

Nur stary wąsy srożył i ramionami wzruszał, a i nam wszystkim przypadła do serca dzielna pieśń Zobara. Jeno Raddzie nie podobała się.

— Tak właśnie komar bzyka, gdy orła przedrzeźnia — powiedziała, jakby w nas kule śnieżne rzucała.

— Ty bata może chcesz, Raddo?— przystąpił do niej Daniło, lecz Zobar cisnął czapkę o ziemię i cały czarny, jak ta ziemia, powiada:

— Stój, Daniło! Dla ognistego rumaka — stalowe wędzidła! Daj mi córkę za żonę!

— Mądrze gadasz! — zaśmiał się Daniło — ależ weź ją sobie, skoro możesz a chcesz!

— Dobra! — rzekł Łojko i zwrócił się do Raddy:

— Posłuchaj mnie, dziewczyno, a nie bądź tak wyniosłą! Dużo ja niewiast widziałem, oj dużo! Ale żadna nie poruszyła tak mego serca, jak ty. Eh, Raddo! zdobyłaś ty moją duszę! Ale cóż robić? Co ma być, to będzie i... ech! niema konia takiego, żeby na nim od siebie samego umknąć można!.. Zaślubiam ciebie wobec Boga, swego honoru, twojego ojca i tych oto ludzi wszystkich. Ale wara ci od woli mojej

najmici do przedsiębiorstw niemieckich i, dzięki oszczędności, dorabiają się często względnego dobrobytu, tak iż 5% emigrantów nosi się z myślą powrotu do stron rodzinnych.

Towarzystwa na poziom umysłowy członków wielkiego wpływu wywierać nie mogą, albowiem $^1/_3$ wcale nie uznaje odczytów, reszta zaś zastępuje je przeważnie odczytywaniem artykułów z gazet. Za to instytucye te odziaływują dodatnio na poczucie narodowe emigracyi. Wypływa to niezaprzeczenie z faktu, iż tylko bardzo drobny ułamek członków stowarzyszeń żeni się z niemkami, kiedy statystycy niemieccy obliczają ogół małżeństw mieszanych wśród wychodźców polskich na 15%.

H.

Z ŻYCIA FRANCYI.

Multiplicamini.

Kwestya „wyludnienia“ nie schodzi z porządku dziennego we Francyi. Przed paru laty poruszył ją w iście „ewangeliczny“ — bo zarazem poetyczny i utopijny sposób — Emil Zola w swej słynnej powieści „Płodność.“ Korzystając może z wrażenia, wywartego przez tę powieść, senator Edme Piot wznowił kwestyę w tym roku w formie projektu całego szeregu reform prawodawczych. Bulwarowy humor wyśmiał senatora. Z szeregu jego projektów pochwycono tylko jeden: podatek od nieżonatych i niezamężnych po upływie pewnego wieku, i dopiero wykazywano, że uchwalenie takiego prawa będzie miało wręcz przeciwne skutki. Bo oto siedzi w saloniku mama z córką na wydaniu i prowadzi przyjemną rozmowę z panem „bywającym,“ który ma wszelkie kwalifikacye na epuzera; aż tu naraz gapa-służąca otwiera drzwi i powiada: „Proszę pani, to poborca po tegoroczny podatek od panienki...“

Pozostawmy jednak żarty pismom bulwarowym; tutaj nawet radykalno-społeczne są w znacznej części bulwarowemi. Kwestya jest poważna, i p. Piot traktuje ją poważnie w swych wnioskach i w ich uzasadnianiu, do którego zajrzeć warto.

Ludność Francyi od r. 1872 do 1896 (wyniki ostatniego, tegorocznego spisu ludności jeszcze nie są ogłoszone) powiększyła się tylko o 2½ miliona, dochodząc w r. 1896 do 38,517,975. Wzrost był coraz wolniejszy: w pierwszem pięcioleciu 802,867, w ostatniem — 174,783. Ale i ten wzrost jest właściwie sztuczny, zawdzięcza go Francya napływowi cudzoziemców, których liczba przekracza obecnie milion; jeśli odliczyć imigrantów, to ludność w ostatnich latach faktycznie zaczęła już spadać. W ciągu r. 1895 liczba wypadków śmierci przeniosła o 18,813 liczbę urodzeń. Groza położenia jeszcze bardziej uderza, jeśli się ruch ludności we Francyi porówna z takim samym ruchem w innych krajach europejskich, współzawodniczących z Francyą na polach politycznem, ekonomicznem i umysłowem. W r. 1789 razem wzięta ludność Anglii i Niemiec, dwóch krajów, których współzawodnictwo niepokoi głównie Francuzów, równa była ludności całej Francyi; dzisiaj każdy z tych krajów jest ludniejszy od Francyi, a razem wzięta ich ludność ma się do francuskiej jak 7 do 3. Jeśli rozszerzymy pole porównania, wprowadzając jeszcze Austryę i Rosyę, to zobaczymy, że w r. 1719 ludność tych państw: Francyi, Anglii z Irlandyą, Rosyi, Austryi i krajów, stanowiących dzisiejsze cesarstwo niemieckie, wynosiła: 25+12+27+18+15=97 milionów, w czem Francya stanowiła część czwartą; obecnie mamy: 38½+40+129+47+52½=307, w czem Francya stanowi zaledwie część ósmą. Szczególnie przeraża francuskich mężów stanu, zajmujących się tą kwestyą, wzrost militarny przewagi Niemiec. W r. 1872 ilość rekrutów w obu krajach była prawie równa: 302,000 we Francyi, 330,000 w Niemczech. Ale w ciągu lat trzydziestu we Francyi pozostała ona prawie bez zmiany, w Niemczech — dochodzi niemal do 500,000. Na stopie wojennej Niemcy dziś już mogą wystawić o 150,000 wojska więcej, niż Francya. „Zapewne — mówi senator Piot — mamy cenne przymierza; lecz liczmy przedewszystkiem na siebie samych. Będziemy mieli sprzymierzeńców tylko wtedy, jeśli sami będziemy silni.“ Tymczasem, jak mówił Moltke, Francya codzień przegrywa niejako jedną bitwę. I to nietylko pod względem militarnym. Zastój ludnościowy utrudnia też współzawodnictwo ekonomiczne i umysłowe, zmniejsza siłę rozprężną. Dziś na całym świecie 60 milionów mówi po francusku, ale 120 — po angielsku, 90 po rosyjsku, 80 po niemiecku, chociaż język ten na początku stulecia nie był nawet do cywilizowanych zaliczany.

Źródło zmniejszania się ludności Francyi nie leży ani w emigracyi: ta wynosi tylko 20,000 rocznie i wogóle bywa z natury rzeczy wysoka tylko tam, gdzie przyrost ludności jest znaczny; ani w znacznej śmiertelności, bo ta ciągle się zmniejsza i od początku stulecia spadła z 28,2 na tysiąc do 21,2, gdy tymczasem przeciętny jej współczynnik w krajach cywilizowanych wynosi 25; ani w zmniejszaniu się ilości małżeństw, bo to jest wprawdzie, ale bardzo powolne — różnica 5 małżeństw rocznie na 10,000 ludności w ciągu 40 lat — a przytem to samo zjawisko, połączone ze wzrostem urodzeń nieślubnych, daje się zauważyć w 24 krajach europejskich i amerykańskich na 27 (wyjątek stanowią Włochy, Finlandya i Saksonia — przynajmniej do r. 1891). Zjawisko polega poprostu na zmniejszaniu się liczby samych urodzeń. W r. 1780 wynosiła ona 38 na tysiąc ludności; w 1810 — 32,9, w 1850 — 27,3, w 1898 — 22,1. Stosunek ilości dzieci do ilości małżeństw dzietnych był na początku stulecia 3,9, obecnie równa się 2,59, a jeśli doliczyć i małżeństwa całkiem bezdzietne, to 2,1. Na tysiąc kobiet zamężnych, w wieku, pozwalającym mieć dzieci, bywa rocznie urodzeń: w Wirtembergii 290, w Norwegii 272, w Prusach 271, w Anglii 260, we Włoszech 242, potem idą Belgia i Szwajcarya, we Francyi zaś najmniej, i to różnica ogromna: 160. Tylko co szósta rodzi.

Samo porównanie z krajami sąsiednimi, stojącymi na tym samym ogólnym poziomie cywilizacyjnym, świadczy, że mamy tu wynik działania woli świadomej i celowej. Zola nic nie przesadził w odmalowaniu obyczajów małżeńskich. Piot może jest jeszcze pesymistyczniej od niego usposobiony. Gdyby wszystko odbywało się zgodnie z zamiarami rodziców, liczba urodzeń w całej Francyi spadłaby, mówi on, do cyfry, cechującej niektóre prowincye, jak Normandya i Gaskonia: 10, nawet 8 na tysiąc ludności rocznie. Dr. Pajot, na podstawie długoletniej obserwacyi odnośnych kół specyalistów, doszedł do wniosku, że w Paryżu ilość wypadków spędzania płodu, których ogromna większość pozostaje w tajemnicy i przechodzi bezkarnie, jest może większa od ilości urodzeń.

Znanym jest fakt, że pobudki ograniczenia ilości dzieci działają głównie, z decydującą siłą, u drobnych właścicieli czy to w miastach, czy przedewszystkiem na wsi. „Myryada zwierzchnia“ również, oczywiście, rozmnażać się nie chce: jej kobiety nie mają czasu na noszenie i na obowiązki

---

wolnej — jam jednak człowiek wolny i żyć będę tak, jak zechcę.

Tu zbliżył się do niej, a zęby ścisnął i oczyma błysnął. Patrzymy, wyciągnął do niej rękę — ot, myślim sobie, już okiełznała Radda konia stepowego! Wtem, widzim, rękoma wywinął i nawznak gruchnął na ziemię.

Co za dziw? Jakby go kula w serce ugodziła. To Radda opętała mu nogi biczyskiem rzemiennem, szarpnęła ku sobie — oto czemu przewrócił się Łojko.

I już znowu leży dziewka bez ruchu i uśmiecha się w milczeniu. Patrzym, co będzie, a Łojko siedzi na ziemi, głowę ścisnął rękoma, jakby się bał, że mu lada chwila pęknie. Potem cicho się podniósł i poszedł w stepy, nie patrząc na nikogo. Nur szepnął do mnie: „Pilnuj go!“ Więc skradałem się za Zobarem przez stepy w ciemności nocnej. Tak to, sokole!“

Makar wytrząsnął popiół z fajki i znowu ją nabijał. Ja się bardziej w czekmen otuliłem i, leżąc, patrzałem na jego twarz starą, czarną od upałów i wiatru. On poważnie i surowo głową kiwał i coś szeptał do siebie; jego gęste, siwe wąsy poruszały się, a wiatr potargał mu włosy na głowie. Był jako dąb stary, od pioruna osmalony, ale wciąż jeszcze potężny i silny i dumny swą mocą. Morze jak przedtem z brzegiem gwarzyło, a wiatr ten pogwar roznosił po stepach. Nonka już śpiewać przestała, a od chmur, co na niebie się skupiły, noc jesienna stawała się coraz ciemniejszą i straszniejszą.

„Szedł Łojko, wlokąc nogę za nogą, głowa zwieszona, ręce jak dwa kije opadły; aż się dowlókł do jaru, co koło potoku, siadł na kamieniu i jęknął. Tak jęknął, że z żalu mi się serce krwią zalało, ale nie podszedłem do niego. Boleści słowem nie zagoisz — nieprawdaż? Właśnie! Siedzi on godzinę, siedzi drugą i trzecią — ani się poruszy.

I ja też leżę nieopodal. Noc była jasna, srebrny blask miesiąca zalał stepy całe, daleko widać było wszystko.

Wtem patrzę: od strony taboru spiesznie zbliża się Radda.

Wesoło mi się zrobiło. Pysznie! — myślę sobie — dzielna dziewka z Raddy! Oto podeszła do niego, on nawet nie słyszy. Za ramię go wzięła; zadrżał Łojko, odjął ręce i głowę uniósł. Jak ci nie skoczy i za nóż chwyci! Och, zarznie dziewkę, widzę; już chciałem krzyknąć, do taboru i do nich polecieć, wtem słyszę:

— Daj pokój, bo w łeb palnę!

Patrzę, Radda trzyma w ręku pistolet i w głowę Zobara celuje. Szatan dziewka! No, myślę sobie, teraz jednako są silni, co będzie dalej?

Radda pistolet za pas zatknęła i mówi doń:

— Słuchaj! Nie zabić cię przyszłam, lecz godzić się; rzuć nóż!

Ten rzucił i ponuro jej w oczy zagląda. Dziwne to było, bracie! Stoi dwoje ludzi i jak bestye patrzą na siebie, a oboje tacy piękni, dzielni ludzie. Patrzy na nich miesiąc jasny i ja — nikt więcej.

— Wysłuchaj mnie, Łojko: ja ciebie kocham! — mówi Radda.

On jeno ramionami wzruszył, jakby mu ręce i nogi związano.

— Widziałam mołojców wielu, ale tyś z nich najdzielniejszy i najpiękniejszy, tak z duszy, jak z twarzy. Gdybym tylko okiem mrugnęła, to każdy z nich wąsy dałby sobie zgolić; gdybym chciała, to wszyscy do nóg by mi padli. Ale cóż z tego? I tak niezbyt wielkie z nich junaki, a przy mnie do reszty by zbabieli. Mało pozostało na świecie cyganów-junaków, mało, Łojko. Nigdy ja nie miłowałam nikogo a ciebie miłuję. Prócz tego wolność miłuję. A tę wolność, Łojko, kocham bardziej, niż ciebie. Bez ciebie żyćbym nie mogła tak samo, jak ty beze mnie. Chcę więc byś był moim, duszą i ciałem, słyszysz?

Uśmiechnął się Łojko.

macierzyńskie, tem bardziej, że tak wielka liczba stosunków miłosnych jest tam nielegalna, a mężowie mogą sobie pofolgować po za domem. Ale ta śmietanka narodu jest zbyt nieliczna, aby mogła poważnie wpłynąć na ruch ludności. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem masowem. W miastach drobne i średnie rzemiosło, takież kupiectwo, inteligencya zawodowa, wśród coraz trudniejszej walki o byt, nie chce powiększać swych ciężarów, obawiając się dla siebie i dzieci spadnięcia o jedną klasę niżej. Na wsi — chłop-właściciel kieruje się, trzeba przyznać, myślą o dzieciach jedynie, o tem, że grunt podzielony nie da im bytu równego ojcowskiemu lub lepszego, a może i zupełnie z rąk się wysunie. Faktu tego, powszechnie przeczuwanego, dowiódł właśnie niezbicie za pomocą statystyki prywat-docent uniwersytetu zuryskiego, dr. J. Goldstein, w dziele p. t. „Bevölkerungsprobleme und Berufsgliederung in Frankreich.“ Wziął on najmniej przemysłowe, czysto rolnicze departamenty, zużywające najmniej ze wszystkich węgla kamiennego, a w nich rozróżnił dwie kategorye: z ludnością chłopską biedną, jak Correze, Alpy, Sabaudya, Korsyka, i z ludnością chłopską zamożną, jak Dordogne, Loir-et-Cher, Pyreneje itd. W pierwszych już ilość urodzeń na tysiąc kobiet zamężnych między 15 a 45 rokiem życia wynosi rocznie od 121 do 108, w drugich spada do 93, a nawet w Gers do 70. Jeżeli podzielimy departamenty rolnicze jeszcze inaczej, podług stosunku najemników rolnych do właścicieli, to w tych departamentach, gdzie jest więcej właścicieli, niż najemników, ilość urodzeń = 94,1, a spadła od lat 20 o 17%, w tych, gdzie więcej najemników = 104,2, spadła tylko o 13%. Wreszcie jeżeli weźmiemy tylko dwa departamenty, Nord i Pas de Calais, główne siedliska przemysłu wielkiego i ludności najemnej fabrycznej, to przyrost naturalny ich ludności stanowił w pięcioleciu 1861—65 — 13% przyrostu całej ludności francuskiej, w 1886—90 — już połowę, a w następnem pięcioleciu — 103,000, gdy w całej Francyi ludność zmniejszyła się o 14,000! Jedynie tylko zatem śmiałość robotników w rozmnażaniu się podtrzymuje jako tako poziom zaludnienia Francyi.

Oczywiście, nikt nie przypuści, że robotnicy rozmnażają się w imię patryotyzmu, ani wogóle, że postanowili mieć dzieci dla jakichś wznioślejszych powodów. Przeciwnie, rozmnażanie się ich świadczy o braku powściągów, działających u innych klas: zarówno ze względu na swobodę i piękność kobiety, jak na przyszłość dzieci. Sam nawet senator Piot doskonale rozumie, że robotnicy rozmnażają się dla tej samej przyczyny, dla której piją: bo jest to ich jedyną przyjemnością, której przeto ograniczać sobie nie myślą. To samo wybornie przedstawił Zola w swej powieści. Nie jest to, niestety, objaw śmiałości i wiary w przyszłość, lecz przeciwnie, przekonania o tem, że jako jednostka, w pojedynczej walce o byt, ojciec rodziny robotniczej nie ma nic do stracenia, bo nie może się niczego spodziewać. W miarę podnoszenia się warunków materyalnych i moralnych bytu klasy pracującej, musi się nawet ten nastrój zmieniać; nie trzeba bynajmniej być maltuzyanistą starego stylu, aby nie uważać tego rozmnażania się bez myśli o następstwach za korzystne dla robotników. We Francyi zarysowuje się nawet pewnego rodzaju ruch neo-maltuzyański. Paweł Robin, były pedagog w Cempuis, wydaje pisemko dla robotników, *Régénération*, w którem dowodzi, jako pedagog, że ilość dzieci stoi w przeciwieństwie do jakości, że należy zapobiegać rodzeniu się chorych i noszących piętna dziedziczne, z jednej strony, z drugiej — ograniczać ilość dzieci do liczby, którą można wychować i która nie przeszkadza zanadto rozwojowi umysłowemu rodziców, a nie powiększać bezmyślnie armii rezerwowej i ilości mięsa armatniego. Choćby te wywody nie we wszystkiem były słuszne, choćby nie miały bezpośrednio wielkiego wpływu, w każdym razie można śmiało przypuszczać, że w miarę duchowego rozwoju robotnika i udostępniania mu różnych uciech cywilizacyjnych, łatwiej ulegać on będzie chciał i mógł naturalnemu dążeniu kobiety do tego, aby mieć mniej często potomstwo. A wobec tego zadanie patryotycznych reformatorów staje się jeszcze trudniejsze.

Senator Piot proponuje trzy kategorye środków zaradczych. Przedewszystkiem żąda on zniesienia zasady kodeksu Napoleona, zmuszającej ojca do podziału majątku na równe części między dzieci, a natomiast wprowadzenia swobody testamentów; chłop, mogąc zapisać cały grunt najstarszemu, nie bałby się mieć więcej dzieci. Ta reforma ma jednak bardzo małe widoki powodzenia: zwiększyłaby ona tylko i tak już wielki przypływ ludności do miast, więc sprzeciwia się interesom zarówno średnich i większych posiadaczy ziemskich, potrzebujących robotnika, jak drobnomieszczaństwa, i tak mającego za dużo konkurencyi. Punkt ciężkości wniosków Piota leży gdzieindziej. Żąda on mianowicie: a) zmniejszenia o 20% podatków bezpośrednich dla ojców czworga dzieci (troje — to minimum obowiązków względem kraju: dwoje dla zastąpienia rodziców, trzecie — tych, co umierają, zanim mogą mieć potomstwo), o 40% — dla ojców pięciorga, o 60% — sześciorga, o 80% siedmiorga i więcej; to samo stosuje się do bezżennych opiekunów tak licznych rodzin; b) zmniejszenia podatku spadkowego w prostej linii (wynosi on 1%) o 0,25% od każdego dziecka po nad troje. Ulgi to jednak stosunkowo bardzo drobne; więc c) ojciec (ew. matka) więcej niż trojga dzieci otrzymywałby rentę roczną po 50 fr. na każde dziecko ponad wskazane minimum. Na ten ostatni cel trzebaby było odrazu 215 milionów. Skąd ich wziąć? Wnioskodawca oblicza ściśle, że wydatki lub straty, spowodowane trzema powyższemi inowacyami, dałyby się pokryć przez: a) podniesienie podatku spadkowego w linii prostej do 1,50% w razie dwojga dzieci, do 2% w razie jedynaka; b) przez podatek 30 fr. rocznie od każdej osoby, niepozostającej w stanie małżeńskim po 25 roku życia (nie wyłączając duchownych i zakonników), oraz od małżeństw bezdzietnych, c) ograniczenie prawa spadkobrania do szóstego stopnia pokrewieństwa, zamiast, jak obecnie, do 12-go.

Jeżeli nawet te reformy zostaną przyjęte, co jest bardzo wątpliwe, to trudno doprawdy się łudzić, aby wywarły one jakiś donioślejszy wpływ. Co znaczy 50 fr. rocznie na dziecko?! W porównaniu z pobudkami ograniczania liczby dzieci — nic. Podatek od niemałżonków jest krzycząco niesprawiedliwy, jeśli ma być jednakowy dla wszystkich stopni majątkowych. Ulgi dla wychodźców do kolonij, ułatwienia formalności przy zawieraniu małżeństw — to też, jak mówią Francuzi, „plastry na drewnianą nogę.“ Jedynie poważne znaczenie można przypisać trzeciej kategoryi proponowanych reform, mającej na celu zmniejszenie śmiertelności dzieci. *Szósta część* dzieci — 150,000 — umiera we Francyi, nie skończywszy pierwszego roku życia; przeszło dwudziesta część — 40,000 — rodzi się nieżywych. Uratować je, toby znaczyło co rok wygrywać bitwę z Niemcami. Przyczyny są jasne, jeśli zauważymy, że odnośne procenty dochodzą 28 i 12 (zamiast 15 i 5) w środowiskach przemy-

---

— Słyszę! Raduje się serce na twe słowa! A nuże, mów jeszcze!

— Jeszcze ci powiem tyle, Łojko: choćbyś się nie wiem jak wykręcał, ja cię zwyciężę, będziesz moim. Nie trać więc czasu po próżnicy — przed sobą masz pocałunki moje, pieszczoty moje... silnie całować cię będę, Łojko! Od pocałunków moich zapomnisz o swem życiu junaczem... a żywe twe pieśni, co tak radują mołojców-cyganów, już rozbrzmiewać nie będą po stepach — ty śpiewać będziesz pieśni miłosne, tkliwe dla mnie, dla twojej Raddy... Nie trać więc czasu po próżnicy — tak rzekłam, to znaczy, że jutro poddasz się mnie, jako starszemu druhowi-junakowi. Do nóg mi się pokłonisz przed całym taborem i ucałujesz prawą rękę moją — a wtedy żoną twoją będę.

Ot, czego się zachciało dyabelskiej dziewczynie. Niesłychane to były rzeczy; tylko niegdyś tak u Czarnogórców się działo, gadali starzy, u Cyganów zaś — nigdy! Bratanie się z dziewką! A nuże, sokole, a wymyśl-no jeszcze coś tak śmiesznego! Choćbyś rok sobie głowę łamał, to nie wymyślisz!

Żachnął się Łojko i wrzasnął na stepy całe, niby w piers raniony. Zadrżała Radda, ale nie zdradziła się z tem.

— Bywaj, Łojko, do jutra! a jutro zrobisz, com kazała. Słyszysz?

— Słyszę! Zrobię! — jęknął Zobar i wyciągnął ręce do Raddy.

Nawet nie spojrzała nań, a on się zatoczył i, jak drzewo od wiatru złamane, upadł na ziemię i szlochał i śmiał się.

Tak znękała chłopca przeklęta Radda. Ledwie ocuciłem go.

Ehe! Jakiemu djabłu to potrzebne, by ludzie ból cierpieli? Komuż to miło słyszeć, jak jęczy serce ludzkie, od bólu rozdarte? Ech, co tam myśleć!

Powróciłem do taboru i powiedziałem o wszystkiem starcom. Dumali, dumali i postanowili czekać i zobaczyć, co się dalej stanie. A stało się tak. Kiedy wieczorem zebraliśmy się wszyscy koło ogniska, to przyszedł i Łojko. Był strapiony a i schudł okropnie przez noc, oczy mu się zapadły, opuścił je ku ziemi i, nie unosząc ich, rzekł do nas:

— Tak się, bracia, rzecz ma: patrzałem ja tej nocy w serce swe i nie znalazłem tam miejsca dla dawnego życia wolnego. Tam tylko Radda mieszka — i koniec. Oto ona, krasawica Radda, uśmiecha się, jak królowa! Kocha ona wolność swoją nade mnie, a ja ją kocham nad wolność, więc przychodzę Raddzie się do nóg pokłonić— jak kazała — żeby wszyscy widzieli, jak jej piękność podbiła junaka Łojkę Zobara, który dotąd igrał z dziewczętami, jak jastrząb z kurami. A potem będzie ona żoną moją i pieścić mnie będzie i całować, ale odechce mi się już pieśni wam śpiewać, i wolności swej żałować nie będę! Czy tak, Raddo?

Tu podniósł oczy i z żalem spojrzał na nią. Ona w milczeniu poważnie kiwnęła głową i ręką swoje nogi wskazała. A myśmy patrzyli i nic nie rozumieli. Nawet odejść chciało się dokądś, aby tylko nie widzieć, jak Łojko Zobar padnie do nóg dziewce — choćby tą dziewką była Radda sama. Wstyd było czegoś i tęskno i smutno.

— Nuże! — krzyknęła Radda Zobarowi.

— Ehe, nie spiesz się tak, poczekaj, uprzykrzy się jeszcze — zaśmiał się ten. Jakby stal szczęknęła — tak się zaśmiał.

— Oto cała sprawa, druhy! Cóż więc pozostaje? A pozostaje spróbować, czy Radda naprawdę ma serce takie twarde, jak to mi pokazywała. Spróbuję więc — wybaczcie, bracia!

Ech, myśmy się nawet domyśleć nie zdążyli, co Zobar zrobić zamierza, a już Radda na ziemi leżała i w jej piersi krzywy nóż tkwił aż do rękojeści. Osłupieliśmy!

słowych, gdzie kobiety pracują w fabrykach. Piot żąda tedy prawa, zakazującego — na wzór Niemiec, Szwajcaryi, Belgii, Holandyi, Norwegii, Austryi, Portugalii — pracy kobiet przez miesiąc przed i po połogu, oraz zobowiązania fabrykanta do założenia przy każdej fabryce „żłobka,“ gdzie w przerwach matki-robotnice mogłyby karmić piersią swo niemowlęta; dalej zaś — systematycznego i szerokiego rozwinięcia całego szeregu środków, jakie już gdzieindziej znalazły zastosowanie, jako to: przytułków dla położnic, zapomóg dla matek, dozoru nad mamkami itd. Na tym punkcie poprą go z pewnością ci, co skądinąd obojętni są względem usiłowań zwiększenia wzrostu ludności.

Cytowany już dr. Goldstein twierdzi, że przyczyną zmniejszenia się tego wzrostu jest również polityka protekcyonistyczna i wogóle agrarno-drobnomieszczańska, utrudniająca rozwój wielkiego przemysłu i zapanowanie nowych form ekonomicznych. Jest w tem pewna doza słuszności. Można powiedzieć, że w teraźniejszym systemie gospodarczym za mało jest miejsca dla nowoprzybywających. Ale to stosuje się do całego świata cywilizowanego, czyli posiadającego ten sam w ogólnych zarysach system gospodarczy. Od r. 1875, jak wykazał Bodio, tylko w Rosyi, Włoszech i Hiszpanii współczynnik wzrostu zaludnienia utrzymuje się na jednakowym poziomie lub lekko się powiększa (50, 37, 37). Wszędzie gdzieindziej spada dość widocznie: w Niemczech z 40,4 na 36,1; w Austryi z 39,6 na 37,6; w Anglii z 35,9 na 30,8; we Francyi z 26 na 22,7. W tej ostatniej zjawisko występuje najostrzej, pod wpływem najwyższego uświadomienia i najwyższej, dziejowo uzasadnionej ambicyi, nie mniej licznej, niż gdzieindziej, jeśli nie liczniejszej klasy drobnych właścicieli. Ale wszędzie ludziom zaczyna być za ciasno. Zgodnie z „prawem pojemności“ Lista, tylko zmiana podstaw ustroju gospodarczego może usunąć to wrażenie, to skrępowanie popędów rozrodczych. Kiedyś myśl o trudnościach walki o byt dla siebie lub dzieci nie będzie ciążyć, jak zmora, nad uściskami kochanków. Nie wynika stąd bynajmniej, aby narody powróciły do ideału płodności pierwotnych plemion rolniczych lub pasterskich, które podbijały naturę lub siebie nawzajem. Technika zastępuje ilość rąk ludzkich. Motyw dążenia do militarnej przewagi nad sąsiadami upada. A za to w grę wejdzie dopiero naprawdę wzgląd na kobietę — złagodzony, co prawda, tysiącem opiekuńczych urządzeń — wzgląd, który w dzisiejszem zmniejszaniu się przyrostu ludności nie odgrywa prawie żadnej roli.

Ale — jakże daleko odbiegliśmy od pana senatora Piota!..

Dr. K. Spollan.

„WEKSLARZE“ A NAUKA.

Któż nie słyszał o Johnie Rockefellerze, słynnym organizatorze trustów, rzezimieszku i spekulancie, który, zrujnowawszy dziesiątki tysięcy ludzi, przekupiwszy koleje i zmonopolizowawszy cały szereg rynków, dorobił się w krótkim czasie za pomocą swych dziesięciu palców pół miliarda dolarów. Oczywiście, przed człowiekiem tym nietylko wszyscy zdejmowali czapki, ale płaszczyła się cała Ameryka. Widocznie jednak ten powszechny szacunek nie zaspakajał ambicyi Rockefellera, skoro postanowił inną drogą zyskać popularność. Ażeby ludzie zapomnieli o tem, jakimi środkami stworzył swój majątek, ażeby nietylko pozornie, ale z całego serca żywili dla niego sympatyę, Rockefeller obdarzył uniwersytet chicagoski sumą 40 (czterdziestu) milionów dolarów, spłaconą ratami. Widząc, jaką drogą nawet oszust i złodziej może kupić wdzięczność i szacunek swych współobywateli, inni milionerzy i miliarderzy poszli za przykładem swego bożyszcza, Rockefellera. W ten sposób w jednym roku 1899 napłynęło do kas uniwersyteckich Ameryki, tytułem szlachetnej i bezinteresownej darowizny, 130 milionów dolarów. Między innymi milionerka, pani Stanford, chcąc uwiecznić pamięć swego nieodżałowanego syna, założyła cały uniwersytet, przezwany jego imieniem „Leland Stanford Junior University.“ Lecz tu zaszła rzecz niesłychanie dziwna. Jakiś bakałarz ekonomii politycznej tej wszechnicy napiętnował w ostrych wyrazach barbarzyńskie wyzyskiwanie chińskich kulisów oraz polecił upaństwowienie kolei. Pani Stanford, szlachetna filantropka i założycielka uniwersytetu, oburzona tem, iż człowiek, który „je jej chleb,“ ośmiela się krytykować metodę, stosowaną na jej własnych plantacyach, zwróciła się w tej sprawie do fakultetu. Ten zawezwał śmiałka przed swój sąd, lecz po pięciominutowej rozmowie z nim przekonał się, iż ma do czynienia z nieukiem, wskutek czego dał mu natychmiastową dymisyę.

Niestety, złe przykłady, jak mawiali Rzymianie, psują dobre obyczaje. Zamiast pamiętać o tem, że język ludzki, jak utrzymywał Taillerand, służy po to, ażeby pewnych rzeczy nie mówić, pewien ekonomista uniwersytetu chicagoskiego przejął się przytoczonym złym przykładem kolegi i oświadczył przed słuchaczami swymi, iż uważa trusty i kartele za bandy zbójeckie, zorganizowane dla wrzekomo legalnego rabowania spożywców. John Rockefeller, dowiedziawszy się o bezczelności swego płatnego lokaja w todze profesorskiej, zażądał natychmiastowego wypowiedzenia służby impertynentowi. Wszechnica, wdzięczna swemu opiekunowi, iż nietylko podarował jej 40 milionów, ale nadto z prawdziwie ojcowską pieczołowitością śledzi jej sprawowanie, odprawiła z kwitkiem niezwłocznie swe *enfant terrible*. Na tem sprawa by się zakończyła ku powszechnemu zadowoleniu, gdyby nie *cherche la femme*.

Znalazła się mianowicie niejaka panna Sendder, profesorka literatury, która w „Atlantic Monthly“ postawiła na ostrzu noża pytanie, azali należy wogóle przyjmować na cele dobroczynne i społeczne pieniądze od ludzi o „splamionem bogactwie.“ Jedną ręką — woła autorka — rujnowali konkurentów i wyzyskiwali publiczność oraz okradali skarb, a drugą rzucają ze swych narabowanych bogactw okruchy społeczeństwu, żądając wzamian wdzięczności, szacunku i rozgrzeszenia ze swych zbójecko-szarlatańskich czynów. Czyż nie widzicie — woła owa panna Sendder — że lud się budzi, a czyż można mieć zaufanie do ognisk nauki, którym magnaci pieniężni zatykają usta złotym kneblem, gdy chcą one wystąpić w obronie ludu. W kołach patronek filantropii powstał popłoch nie do opisania. Czyż takim beztaktem nie zraża się szlachetnych ofiarodawców, którzy utrzymują tysiące wdów i sierot, oraz dopomagają uczącej się młodzieży? Czyż widząc, jaką niewdzięcznością odpłaca im społeczeństwo za ich hojne dary, nie będą używali odtąd pieniędzy na swoje utrzymanki lub konie wyścigowe, zamiast na cele wyższe?

Niestety, złe przykłady psują dobre obyczaje. Słowa panny Sendder odbiły się echem w sercu przełożonej zakładu Hull-House. Gdy niedawno John Rockefeller chcąc pokazać, iż tym razem przebacza jeszcze społeczeństwu jego niewdzięczność, zaofiarował wspomnianemu zakładowi milionową sumę, pani przełożona miała odwagę odmówić jej przyjęcia. Jej za-

---

A Radda wyrwała nóż, rzuciła go na bok i, zatknąwszy ranę splotem włosów swych czarnych, z uśmiechem rzekła głośno a wyraźnie:

— Żegnaj, Łojko! wiedziałam, że tak zrobisz!..

Tak i umarła.

Zrozumiałeś dziewczynę, sokole? Taka ona była, niech mnie piorun trzaśnie, ta dziewka szatańska! Ehe!

— Ech! A więc padnę ci do nóg, królowo dumna! — wrzasnął Łojko na stepy całe, o ziemię się cisnął, przypadł wargami do nóg martwej Raddy — i stężał. My zdjęliśmy czapki i staliśmy, milcząc.

Cóż powiesz na to, sokole! Tak to! Nur rzekł był: „trzeba go związać!“ Ale ręce nie podniosłyby się do wiązania Łojki Zobara, niczyje ręce by się nie podniosły, i Nur wiedział o tem. Machnął ręką i usunął się na bok. A Daniło podniósł nóż, co Radda go była rzuciła i długo go oglądał, poruszając siwymi wąsami; na nożu tym nie zastygła jeszcze krew Raddy, a był to nóż krzywy i ostry. Potem podszedł do Zobara i wepchnął mu go w plecy naprzeciw serca. Raddy ojcem był przecie stary żołnierz Daniło!

— Tak dobrze! — odwróciwszy się do Daniły, rzekł wyraźnie Łojko i poszedł dopędzać Raddę.

A myśmy patrzyli. Leżała Radda, przycisnąwszy do piersi rękę ze splotem włosów, otwarte jej oczy utkwione były w niebo błękitne, a u nóg jej rozciągnął się junak, Łojko Zobar. Kędziory twarz mu zakryły.

Staliśmy zadumani. Trzęsły się wąsy staremu Danile, a brwi jego gęste się ściągnęły. Patrzał w niebo i milczał. A Nur, siwy jak gołąb, położył się twarzą do ziemi i tak zapłakał, że ramiona jego starcze jak w konwulsyach zadrgały.

Było tam czego płakać, sokole! Tak to!..

Chodzisz sobie, no więc chodź swoją drogą, nie skręcaj na bok. Idź prosto. Może i zginiesz po próżnicy. Ot, i koniec, sokole!“

Umilkł Makar i, schowawszy do torebki fajkę, zapiął na piersi czekmen. Deszcz kropił, wiatr wzmógł się i morze pomrukiwało głucho a gniewnie.

Jeden za drugim zbliżały się do dogasającego ogniska konie i, obejrzawszy nas dużemi, mądremi oczyma, nieruchomo stawały, otaczając nas szczelnym kręgiem.

— Hop, hop, hej! — krzyknął im pieszczotliwie Makar, poklepał dłonią po szyi ulubionego karego konia i rzekł, zwracając się do mnie:

— Czas spać!

Owinął się cały w czekmen, potężnie się rozciągnął i zamilkł. Mnie się nie chciało spać. Patrzałem na urocze stepy w kierunku morza, a w powietrzu przed memi oczyma unosiła się królewsko piękna i dumna postać Raddy. Przycisnęła rękę ze splotem włosów do rany na piersi, a po przez jej smagłe, cienkie palce, kropla po kropli sączyła się krew, padając na ziemię krwawemi gwiazdeczkami. Tuż za nią unosił się junak-mołojec, Łojko Zobar; twarz przesłoniły mu gęste kędziory czarne, a z pod kędziorów tych ściekały łzy częste, zimne, wielkie.

Deszcz się wzmagał, a morze intonowało ponury, uroczysty hymn na cześć dumnej pary pięknych Cyganów — Łojki Zobara i Raddy, córki starego Daniły.

Tych zaś dwoje unosiło się w pomroku nocy miarowo a niemo, lecz piękny śpiewak Łojko nijak dumnej Raddy dopędzić nie mógł.

Tłom. *Józ. Kw.*

kład — pisała nietaktowna dama — ma na celu wychowanie ludzi, którzyby nieustraszenie stawiali czoło wyzyskiwaczom. Opinia ogółu przyklasnęła odpowiedzi szlachetnej kobiety.

Przedm.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Uczta motłochu.

Pewnego dnia — jak opowiadają badacze zakładów karnych — żadne zamki, parkany, warty, nie mogą powstrzymać katorżników od ucieczki. Usłyszał kukułkę, podkopał się, omylił czujność straży i poszedł do lasu na włóczęgę, chociaż wiedział, że albo go złapią, albo nacierpiawszy się głodu, powróci dobrowolnie i otrzyma chłostę Jego plecy już pokryły się grubą korą blizn, on jednak co wiosnę ucieka i co jesień bierze plagi.

I my tak samo wyrywamy się corocznie z naszych ciężkich robót, a nieraz tak samo bywamy karani po dobrowolnym do nich powrocie.

W ciągu paru miesięcy nie będę przedzierał się przez gęste ciernie miejskiego życia i nie będę zdejmował z siebie tej pajęczyny spraw literackich, które jak babie lato dokuczliwą i nieskończoną przędzą owijają się wokoło mojej głowy. Siedzę w wagonie, po którym chodzi chłopiec z dziennikami. Nie dotknę się ani jednego pasma tych nici. Nałóg szepce: tylko raz — ostatni. Kupuję numer *Kuryera*. Naturalnie wyskakują mi z niego do oczu: morderstwa, kradzieże, rozprawy nożowe, oszustwa, wreszcie... „tragedya w Tyflisie." Św. Mateusz powiada: „Gdzie jest ścierw, tam gromadzą się orłowie." Więc boję się opisów tragedyi w dziennikach: w szponach bowiem ich reporteryi nawet najszlachetniejsze serca zamieniają się na ścierw. Istotnie, wypadek niezwykły, a przynajmniej tak „sensacyjny," że ostre i żarłoczne dzioby drapieżnych ptaków mogą zeń wyszarpywać ogromne kawały zaledwie ostygłych ciał. To też nad okrwawionym punktem Kaukazu zawisła chmura sępów, wpatrzonych pożądliwie w swą zdobycz. Leżą dwa trupy, wcale niepowszednie, nie takie bezimienne, jakie uprzątacze brzegów rzecznych i ulic znoszą do prosektoryów. Na te, gdy były żywe, rzucała przelotne spojrzenia, a teraz wytrzeszcza oczy czcigodna plotkarka — opinia publiczna. On był nierozwiniętym jeszcze pąkiem mężczyzny, który wszakże już ukazywał piękne barwy kwiatu, ale ona? Pytanie to łechce najwrażliwsze nerwy owych gałganiarek, które rozgrzebują wszystkie śmietniki życia, owych tropicieli cudzych tajemnic, którzy wwiercają wzrok w dziurki od kluczów i przykładają uszy do ścian sąsiadów dla wykradzenia nowin, rozdawanych znajomym jako najsłodsze cukierki, owych kumkających i rechoczących żab, które napełniają swoje bagno plotkarską ikrą. Ona była kobietą piękną, córką norweskiego lekarza, przez lat kilka przyjaciółką sławnego w Europie powieściopisarza, potem żoną głośnego autora polskiego; szlak jej życia biegł ostro łamanym zygzakiem, nosiły ją burze, ścigały płomienne żądze, przywabiała literatura, a ciągle otaczał tuman zmieszanych i krzykliwych głosów, zachwytów i złorzeczeń, ten tuman, który często tak okrywa ludzi niezwykłych, że ich w nim wcale nie widać. I oto nareszcie zagnana czemś aż na Kaukaz, zginęła od kuli człowieka, który wraz z nią strącił się do grobu. Czy to okrwawione widmo stoi dziś przed nami z wyrazem głębokiego bólu, czy wesołego bezwstydu?

Ile razy kimś miotają wichry, chociażby nawet nie z zewnątrz go chwytające, ale w jego duszy zamknięte, zawsze można być pewnym, że jest to istota bardzo nieszczęśliwa, a tłum zawsze mniema, że jest bardzo grzeszna. Każdy osobnik tego tłumu wierzy, że jeśli on tuczy się i rozmnaża w sposób najprostszy i najbezpieczniejszy, nietylko urzeczywistnia najwyższy ideał życia, ale czyni to mocą swej wolnej woli, że gdyby, będąc piskorzem, zechciał, mógłby odrazu zostać rekinem. O tę wolę posądza i oskarża również tych, którzy od kolebki do trumny nie przesuwają się na tłustych brzuchach, lecz przebiegają w szalonych podskokach. Domyślna gawiedź w poszukiwaniu rozwiązania trudnych zagadek natury ludzkiej będzie wpadała na najrozmaitsze przypuszczenia, tylko ominie jedno: że najdziwaczniejsze, najnienormalniejsze objawy wywołuje również konieczność. Suma rozumów najliczniejszego motłochu nie dosięga prawie nigdy zera, a jednakże jest on bardziej przekonany o swej mądrości, niż najwięksi geniusze świata. Podczas gdy przyroda dla stworzenia go najmniej zużywa swych sił, on wyraźniej w sobie widzi jej potęgę, niż w tych, których ona najszczodrzej obdarza swą mocą. Ateńska handlarka czosnku uważała się z pewnością za *naturalniejszą* od Aspazyi, a stróż Opactwa Westminsterskiego poczytuje swą duszę za godniejszą tablicę praw natury, niż Byrona. Tajemnice, zagadki istnieją tylko dla mędrców; motłoch wszystko zna, wszystko sobie rozstrzyga; wie on z równą stanowczością, skąd powstają grady, jak, dokąd dąży ludzkość. Dla każdego wypadku znajdzie odpowiedni w swoim kodeksie paragraf; każdą nędzę i zasługę ściśle oznaczy, bez badania, bez dociekań, bez rozważań. W sądzeniu zaś wszelkich, nawet najzawilszych spraw ludzkich stosuje tylko dwa wyroki: jednych karze sromotnym pręgierzem, drugich nagradza pełnem korytem. I zdaje mu się, że jest najnieomylniejszem sumieniem świata.

Chociaż potomstwo Tersitesa i Meduzy w umysłowym i moralnym układzie pierwiastków ludzkich zajmuje najniższe kręgi, właściwy motłoch nie stanowi bynajmniej wyłącznego materyału nizin społecznych. Przeciwnie, tam on jest najmniej liczny i najmniej drapieżny, tam dość często spotkać można dyamentowe dusze, tylko nieoszlifowane kulturą i porysowane nędzą, tam samo życie cierpieniami i poniewierką uczy rozumu i szlachetności. Natomiast gdy brutalne instynkty rozrosną się w dobrobycie, gdy drewniane mózgi wygładzą się powierzchowną kulturą, gdy kamienne serca obrosną mchem, na którym drobne krople uczuć błyszczą w słońcu pozorami pereł — wówczas motłoch staje się najgorszym i najbardziej zdradza swoją niegodziwą naturę. Kapelusze, zdobne suknie i tużurki okrywają przejrzystą zasłoną jego puste lub zgnilizną napełnione wnętrze, z pod masek i kostiumów wyglądają rozmaite odmiany głupoty i okrucieństwa. Jest to staro-egipski, święty wół, obwieszony jedwabną kapą i świecidłami, który na ołtarzu szuka trawy i nie krępuje się uroczystością chwili w dogadzaniu swym potrzebom.

Może kiedyś, kiedyś, po długiej pracy badawczej wiedza nasza dojdzie do tej doskonałości, że jej mędrcy czytać będą tak wprawnie w duszach ludzkich, jak dziś w księgach. Wtedy wystąpią oni w ostatnim akcie każdej tragedyi życiowej i odkryją świadkom cały niedostrzegalny dla nich jej psychiczny mechanizm. Dziś oni tego jeszcze uczynić nie mogą i groby ofiar nieprzeniknionych pieczętują krzyżem męczeńskim. Ale to nie upoważnia motłochu do zrywania owych pieczęci i znieważania grobów, do wyprawiania sobie rozkiełznanych orgij przy trupach. Trzeba to pozostawić hyenom. Bohaterka tragedyi tyflińskiej, o ile jej życie potrąciło uwagę publiczną, nie była dla naszych pragnień i pojęć wzorem moralnym, według którego chcielibyśmy kształtować charaktery niewieście. Ale czy my możemy objaśnić, dlaczego ona przeszła taką a nie inną kolej? Czy my możemy związać w łańcuch przyczyn i skutków wszystkie momenty jej życia? Gdyby nawet oba trupy zmartwychwstały i opowiedziały nam szczegółowo, co między nimi zaszło, zanim on ją i siebie zastrzelił, zrozumielibyśmy tylko, że stanęło między nimi nieszczęście, że zabiło ich nieubłagane, z całej ich przeszłości zrodzone fatum, że za błędy odpokutowali największą karą, jaka winnych dosięgnąć może. To wszystko. Czy nie dosyć? Czegóż jeszcze żąda motłoch? On łaknie uczty, więc wciska się do schronienia samobójców, wpija wzrok w ich twarze, usiłuje wykraść im tajemnicę cierpienia i śmierci, radby obnażyć i obejrzeć martwe ciała, schwytać każdy drażniący szczegół i wszystkie odkrycia wynieść z cynicznym śmiechem na rynek. On nie zbliża się do nich ani z mądrością, ani ze smutkiem, lecz z głodną żądzą zapuszczenia głęboko kłów w smaczny łup, rozdzierania skandalu na kawały i pożarcia go z dzikim pomrukiem. Tak rzadko mu się zdarzają podobne zdobycze, więc nie daruje najmniejszego kąska. Że ta uciecha jest zwierzęcą, że ona jeszcze szerzej otwiera rany serc, na których ta tragedya wyryła się nieuciszonym bólem i niezatartem wspomnieniem — co to obchodzi motłoch? Gdyby wiedział, że wykradłszy lub roznióslszy ukradzioną najskrytszą tajemnicę umarłych, zabije tem żywych, nie ulitowałby się nad nimi. Takim „porządny" motłoch jest wszędzie i zawsze.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

ARCHEOLOGIA.

Światowit. Rocznik, poświęcony archeologii przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej, wydawany staraniem Erazma Majewskiego. Tom I. 1899 i Tom II. 1900.

Zastój w ruchu naukowym, dotyczącym badań nad przeszłością przeddziejową kraju naszego, znamię charakterystyczne ostatniego dziesięciolecia, skłonił p. Erazma Majewskiego do podjęcia wydawnictwa specyalnego, w dziedzinie archeologii i dziejów kultury swojskiej, organu, któryby, skupiając rozproszone siły naukowe, zapoznawał ogół z wynikami tej gałęzi wiedzy. Pismo to jednakże, podając wyniki badań starożytniczych, usiłuje oswoić czytelnika z samym przedmiotem i odpowiednią bibliografią, w czem niemałą przysługę czyni ogółowi.

Możnaby coś zarzucić tytułowi wydawnictwa, lecz p. E. M., przewidując nasze zarzuty, przywiódłszy treściwie przebieg sprawy, dotyczącej odkrycia posążku czterogłowego w rz. Zbruczu w Galicyi, i co Helmold pisze o Świantewicie rujańskim, mówi: „Nie chodzi mi o postać wyrazu, lecz o treść jego. Niech ten wyraz służy tylko za symbol pradziejowego bytu naszego; niech bóstwo o czterech obliczach patrzy z nami w cztery strony świata prasłowiańskiego i wypatruje pamiątki prawieku naszego. Dla nas to wystarczy! Samo nawet pytanie, czy nasz Światowit w istocie należał do Olimpu słowiańskiego, pozostawimy do rozwiązania przyszłości."

Wiadomo, że pieczary, czyli tak zwane jaskinie, obfitują w zabytki z czasów przeddziejowych. Jaskinie okolic Krakowa w dolinie Rudawy już dostatecznie zbadał nieżyjący dziś G. Ossowski. Nie tak się ma co do jaskiń ojcowskich, aczkolwiek poszukiwania pp. J. Zawiszy, Römera i Ossowskiego mają swoją wartość. Pozostaje jeszcze przeszło sześćdziesiąt jaskiń dotąd nieznanych, St. J Czarnowski zwiedził nietylko wskazane przez Ossowskiego jaskinie, ale odkrył mnóstwo innych większych i mniejszych, których wykaz z odpowiednią mapą stanowi pierwszy artykuł pierwszego tomu *Światowita*.

P. Erazm Majewski skreślił art. p. t. „Grociki długowate polskie do strzał przedhistorycznych.“ Są to małe tabliczki krzemienne o kształtach trapezu lub romboidu. Przeciwległe krawędzie tych grocików są ostre, gdy pozostałe bądź tępe, bądź gładko przytępione. Zabytki te nader są rzadkie w zbiorach prywatnych i publicznych. Tymczasem osobiste poszukiwania, dokonane przez samego autora, wykazały, że rzadkość ich w pomienionych zbiorach nie dowodzi jeszcze, jakoby zabytki tego typu znajdowały się w małej nader ilości, lecz niepozorność ich nie zwracała dotąd uwagi archeologów. Kolekcya tych grocików, będąca własnością autora, przedstawia nietylko wszystkie odmiany, ale nawet krańcowe i wyjątkowe okazy, których niema w innych zbiorach. Kolekcya ta pochodzi z powiatu Stopnickiego i sąsiednich gubernii Kieleckiej.

P. Wandalin Szukiewicz mówi o kurhanach kamiennych w powiecie Lidzkim (gub. Wileńska), Są to groby, w których umieszczano trupy, pokryte stosem kamieni polnych, zamiast nasypu ziemnego. Zakątek powiatu Lidzkiego, obfitujący w takie okazy, nosił niegdyś nazwę księstwa Dojnowskiego. Groby te pojawiają się w pewnych gromadach. Lud, który w ten sposób grzebał swych zmarłych, różnił się widocznie od Litwinów. Kurhany te znane były pod nazwą *mogił tatarskich*.

Art. 3 jest pracą p. Erazma Majewskiego p. t. „Zabytki przeddziejowe w Jastrzębcu (p. Stopnicki).“ Wieś ta, stanowiąca niegdyś całość z Dziesławicami i Czyżowem w powiecie Stopnickim, gubernii Kieleckiej, była własnością Samuela Zborowskiego. Na obszarze Jastrzębca p. M. odkrył następujące zabytki: a) groblę czyli wał; b) zamczysko, pagórek ze śladami kultury przeddziejowej; c) pracownię narzędzi krzemiennych; d) grób kamienny ze szkieletem; e) cmentarzysko żarowe; f) grób żarowy odosobniony i g) kilkanaście przedmiotów, znalezionych w różnych miejscach obszaru Jastrzębca.

Art. 4 jest także pióra tego autora p. t. „Zabytki przeddziejowe w Żernikach Dolnych w powiecie Stopnickim.“ P. M znalazł tam osadę, cmentarzysko i pracownię narzędzi krzemiennych, od której opis swój zaczyna.

Art. 5 stanowi pracę tegoż autora: „Sprawozdanie z wycieczek archeologicznych w Kieleckiem w r. 1897.“ Tym razem p. M. nie ograniczył się wyłącznie do powiatu Stopnickiego, lecz zwiedził także południowo-wschodnią część powiatu Pińczowskiego, część Kieleckiego i parę szlaków w pow. Miechowskim. Odkrycie licznych cmentarzysk, strzałek, grocików, skorup od popielnic i t. p. jest wynikiem tych wycieczek.

P. Zygmunt Glogier, odbywszy w jesieni 1879 wycieczkę na Pokucie, zbadał w Horodnicy nad Dniestrem ciekawe groby z ceramiką, o których czytamy relacyę w art. p. t. „Wykopaliska w Horodnicy na Pokuciu.“

P. Majewski mówi o dwóch toporkach rogowym i kamiennym, znalezionych we wsi Borowe, w pow. Ostrowskim, gub. Łomżyńskiej, na prawym brzegu Bugu. P. Szukiewicz pisze o przedmiotach bronzowych, odkrytych nad Niemnem i Merecanką.

Zwracamy uwagę na dwie prośby p. E. Majowskiego. Jedna z nich dotyczy osób, czytających rozmaite dzienniki, tygodniki itp., aby raczyły przesyłać do redakcyi odnośne wycinki, zawierające wiadomości o odkryciach archeologicznych. Druga—do posiadaczy okazów przedhistorycznych. Pożądaną byłoby rzeczą, aby właściciele podobnych zbiorów raczyli udzielić opisu, rysunku a nawet, co byłoby najwłaściwszem, i samego przedmiotu. Sądzimy, że prośba ta nie pozostanie bez odpowiedzi.

Bogaty i cenny jest przegląd archeologiczny (cz. IV). Jest tam spis alfabetyczny miejscowości w Prusach wschodnich i zachodnich, w których poczyniono odkrycia archeologiczne w ciągu 1895 i 96 r. Dwa artykuły są ściśle specyalne: E. Majewskiego „Wick miedziany w Chaldei i zagadka bronzu“ i Otona Helma „Rozbiór chemiczny bronzów przeddziejowych zachodnio-pruskich.“ Godną jest jednak zaznaczenia praca p. E. Majewskiego „O właściwej metodzie badania starożytności słowiańskich.“ Autor zauważył, że badacze Słowiańszczyzny nie mogą się ustrzedz błędów, na które dr. Tadeusz Wojciechowski, autor „Chrobacyi,“ zwracał uwagę. Błędy te polegają na stosowaniu nieodpowiedniej celowi metodzie badań. Brak jest metody przedmiotowej. W wiekach średnich nie znano krytyki. Twórcami jej nazwać można filologów. Dawali oni zwykle pierwszeństwo najwcześniejszej wiadomości w źródłach. Metoda ta okazała pewne zalety w zastosowaniu do narodów klasycznych, gdy przeciwnie, co do ludów barbarzyńskich doprowadzić mogła do błędnych zgoła wyników. Najlepiej zaczynać od rzeczy znanych do nieznanych, czyli od wypadków historycznych, bliższych spółczesności, i postępować ku dawniejszym, odleglejszym, czyniąc to na wzór górnika, zaczynającego od warstw wyższych i wkopującego się coraz głębiej. Używać więc należy metody filologicznej czyli progresywnej wyłącznie do krytyki źródeł, gdy w badaniu posiłkować się tą drugą, tj. odwrotną. W związku z tą pracą pozostaje artykuł p. H. Łopacińskiego p. t. „Kilka wiadomości o wykopaliskach.“ Są to poglądy przodków naszych na wykopaliska. Długosz utrzymuje, że popielnice rosną pod ziemią. Podobnego zdania są Miechowita i Kromer. Wacław Sieroszewski pisze o nożu syberyjskim. Cenną jest bibliografia do prahistoryi, opracowana p. E. Majewskiego („Biblioteka badacza starożytności przeddziejowych“). Następują rozbiory i sprawozdania przeważnie pióra E. Majewskiego. Pomijamy dział „Z muzeów“ i „Drobnych wiadomości.“ Koroną tomu pierwszego jest bibliografia archeologii przedhistorycznej polskiej, zebrana z ogromnym nakładem pracy przez Szczęsnego Jastrzębowskiego.

Tom drugi poświęcony jest wszechnicy Jagiellońskiej na pamiątkę jubileuszu zeszłorocznego.

Na Litwie, a szczególnie na przestrzeni, przerzniętej Niemnem i Willą, częste są kurhany ze szczątkami zgorzałymi, bądź pojedynczo, bądź gromadnie napotykane. Owóż p. W. Szukiewicz opisuje takie charakterystyczne cmentarzysko w lesie, należącym do folwarku Pomusie w powiecie Trockim (Kurhany całopalne w Pomusiu). Bardziej zaciekawia nas praca p. Fr. Tarczyńskiego: „Groby rzędowe kamienne w pow. Płockim.“ P. T. znalazł szkielety, obrączki żelazne, nożyki, skobelki, włócznie, strzałki, czekany, oszczep, zausznice srebrne, nożyk krzemienny, pierścionek bronzowy i naczynia gliniane. Wszystkich przedmiotów 54. Czaszki stanowią typ długogłowych. O trzy wiorsty od Turowa we wsi Rogowie Duchownym p. T. odkopał 13 grobów z czaszkami długogłowemi.

P. E. Majewski znalazł we wsiach Grabowa i Góra ciekawe skorupy z epoki kamienia i bronzu („Garncarstwo we wsiach Grabowa i Góra“). Zdobyczą poszukiwań w Dziesławicach, w pow. Stopnickim, jest 39 grocików krzemiennych całych i 5 niedokończonych lub uszkodzonych, tudzież wiele innych okazów. Zaznaczamy także art dr. Wł. Olechnowicza („Narzędzia krzemienne z okolic Ohodla w pow. Lubelskim“).

Niestrudzony redaktor *Światowita* obdarzył nas cenną notatką co do pobytu Słowian we Frankonii („Ślady Wendów we Frankonii“), opierając się na materyałach archeologii niemieckiej. Najwięcej nazw, przez samych Niemców za słowiańskie uznanych, tj. 318, przedstawia Frankonia wyższa, czyli wschodnia, drugie miejsce zajmuje Średnia 72, a trzecie Niższa, czyli zachodnia, 39 miejscowości. Oprócz tego przyległy od wschodu Palatynat Górny z Ratysboną—138. Następują artykuły: Maryana Wawrzenieckiego „Zabytki przeddziejowe w pow. Miechowskim gub. Kieleckiej“; Erazma Majewskiego „Sprawozdanie z wycieczek archeologicznych, dokonanych w r. 1898 i 99“; Maryi Butrymównej „Kurhany w Pakalniszkach.“ Dział korespondencyjny nader ciekawy dla specyalistów.

Redaktor wzywa do opracowania mapy archeologicznej choćby jednej gubernii i powiatu („Materyały do mapy archeol.“). W dziale p. t. „Ruch naukowy“ jest mowa prof. Rudolfa Virchowa przy otwarciu ogólnego zebrania Tow. antropologicznego w Lubece 1897 r. Mówca przyznaje, że Słowianie mieszkali na wschód Łaby. „Łużyce, późniejsza Marka Brandenburska, Meklenburg, *południowo-wschodnia część Holsztynu*, Pomorze, Śląsk, Prusy zachodnie z tej (zachodniej) strony Wisły, były niewątpliwie słowiańskiemi.“ W grobach znajdowano czaszki „stosunkowo długie, niezbyt wysokie a średnio-szerokie.“ Czaszki te uważano za frankońskie, gdy tymczasem nierzadkie są nad Notecią i Wartą. Grody żarowe uważa Virchow za przedsłowiańskie, lubo nie utrzymuje, jakoby ten lud przedsłowiański miał być niemieckim.

Z art. p. t. „Badania nad dobą przedhistoryczną Galicyi“ dowiadujemy się, że w okolicach Krakowa w okresie pierwszej połowy wieku kamiennego (paleolitycznego) znajdujemy pierwsze ślady człowieka. W drugiej połowie tego wieku, tj. w epoce neolitycznej, całe porzecze Wisły zamieszkałe było przez plemiona, które paliły zwłoki. Wzdłuż Sanu znajdujemy groby ze szkieletami skurczonymi. Na 200 lat przed Chr. zjawiają się nad średnim Dniestrem w Galicyi wschodniej, Bastarnowie, plemię celtyckie. Ks. Chamiec (następny art. o Bastarnach) uważa plemię to za mieszaninę rozmaitych pierwiastków. P. Wojciech Kętrzyński rozwija teoryę W. A. Maciejowskiego, Szembery i innych o swewskiem Słowian pochodzeniu („O Słowianach, mieszkających między Renem a Łabą, Salą i granicą czeską“). Cezar i Tacyt odróżniają Swewów, tj. Słowian od Niemców. Autor zebrał 800 nazw słowiańskich na *itz* = *ica, ici, ice*, a raczej *ca, ci, ce*, bo samogłoska *i* należy do osnowy (tematu), o czem p. K. nie wie, bo lingwistyka jest dlań zupełnie dziedziną obcą. Za Słowian uważa Bojów czeskich, Markomanów morawskich, Kwadów słowackich, Lygów czyli Lingów lackich, Semnonów, Longobardów itp. Czy to nie zakrawa na Staroitalię slowanskou poety słowackiego Kollara? Cennym nazwać można art. G. Ossowskiego „Charakterystyka obszarów archeologicznych Galicyi.“

Tom ten kończą rozbiory i sprawozdania pióra pp. Erazma Majewskiego, Ks. Chamca i osoby, używającej znaczku *m*. P. Ks. Chamiec streścił głośną rozprawę dr. Lubora Niederlego „Ludzkość w dobie przeddziejowej.“ Następuje dział „Z muzeów,“

„Drobnych wiadomości“ i „Literatura prac z lat 1898 i 99.“

Liczne ryciny, mapy, piękny papier i druk korzystnie zalecają to godne ze wszech miar uwagi wydawnictwo.

J. F Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Wilhelm Feldmann: *Czyste ręce*, dramat w 4 aktach. *Cudotwórca*, sztuka w 4 aktach. Warszawa—Lwów, 1901 r.

W jednem z większych miast galicyjskich „za naszych czasów“ istnieje bank ludowy, na którego czele stoi dyrektor Maryniak. Młodociane ideały jego, o których zachował ledwie mgliste wspomnienie, okryły się już gęstym kurzem grzechów większych i mniejszych... Uciekał z domu od sekutnicy żony w objęcia jakiejś wiosny, lecz wiosna ta kochała przedewszystkiem kasę banku ludowego.

Niższy urzędnik instytucyi spostrzegł przypadkiem zawikłanie w rachunku i odtąd stał się złym duchem Maryniaka, popychając go coraz głębiej w przepaść. Na chwilę zaświeciła dyrektorowi ze strony niespodziewanej gwiazda nadziei. Idealista Skalnicki wykrył, że miasto posiada na gruntach swych wody mineralne. Wzbogacą one gminę, ale staną się również deską ratunkową dla Maryniaka, który szlachetnieje pod wpływem Skalnickiego i odtrąca wszelkie propozycye, zapewniające mu osobiście spokój i bezpieczeństwo, lecz niweczące przytem samą ideę zachowania znalezionych bogactw dla współobywateli. Wszelako dawne grzechy mszczą się na kierowniku banku. Nowe przedsiewzięcie krzyżuje wiele osobistych interesów, wchodzą w grę przesądy, głupota ludzka i podrażnione ambicye. Podstępna działalność współzawodników, którzy chcieliby wyzyskać korzystny pomysł dla siebie, tamuje wszelką swobodę ruchów. Popłoch, rzucony pomiędzy wierzycieli banku, dokonał reszty. Firma wiedeńska staje się właścicielką przedsiębiorstwa, Maryniak samobójstwem kończy życie, Skalnicki, fikcyjny właściciel połowy akcyj, zostaje uwięziony pod zarzutem oszustwa, a na głowę jego spada grad złorzeczeń, miotanych przez ludzi, którzy dotąd mieli go za bohatera. Idea utworu zawarta jest, jak się zdaje, w słowach Skalnickiego: „Dobra sprawa udać się musi, jeżeli współdziałają w niej idea, środki silne i—*czyste ręce*.“ Nie wiedział, iż dotyka dłoni splamionej. Trynmfuje więc sprawa, która czystych rąk nie wymaga. Ze streszczenia widać, że pomysł autora, a poniekąd i przebieg wypadków w dramacie, pozostaje w pewnem pokrewieństwie z głośną sprawą galicyjskiej kasy oszczędności. Utwór przeznaczony jest dla sceny i, być może wymaganiom jej czyni zadość; w czytaniu wszakże, poza owym sensacyjnym pierwiastkiem, nic niema w sobie szczególnie pociągającego. Charaktery nakreślone dość blado, Skalnicki zaś wygląda nie na ideologa, ale wprost na sentymentalnego głuptasa ni z pierza, ni z mięsa. Cały dramat odbywa się nie w duszach, lecz nazewnątrz, i nie budzi głębszego współczucia dla osób... A zresztą teza, zarówno publicystyczna, jak satyryczna, rozwiązana jest wcale poprawnie.

W „Cudotwórcy“ rzecz się odbywa wśród ludności żydowskiej, w małem miasteczku galicyjskiem. Bogacz Alter, poświęciwszy życie zabiegom o dobro materyalne, chciałby i dla duszy coś uczynić. Za namową miejscowego cadyka-cudotwórcy oddaje jedynaczkę córkę, Perlę, ubogiemu, lecz mądremu i świętobliwemu Gabryelowi. Taki zięć (przyszły rabin) będzie mu koroną na ziemi, zbawcą w niebie. Perla, chowana „na wielkim świecie“ w Krakowie, odstrychnęła się już całym składem pojęć i dążeń od swej sfery. Wie ona, że „za waszemi głowami i ponad waszemi głowami wyrasta świat inny, świat *prawdziwej mądrości*, świat *prawdziwych cudów*“. Związek więc jej z Gabryelem, nie mówiąc już o pogwałconych prawach serca, byłby potwornością, gdyż młody „bucher“ i poziomem swego wykształcenia, i trybem wyobrażeń należy wprost do odmiennego gatunku ludzkiego. Ojciec nie może pogodzić się z buntem córki przeciw jego władzy patryarchalnej, nie rozumie też, że córkę żywcem w grób zakopuje; cadyk zaś, jak z opętanej, wypędza djabła. Nadomiar nieszczęść, zwala się na głowę dziewczyny inny cios. Ten, który miał ją do światła prowadzić, był zwykłym łowcą posagowym; na wieść tedy o wydziedziczeniu Perli zwrócił się do jej ciotki. Na prośbę przyszłego męża Perlę na razie pozostawiają w spokoju; rzecz się pozornie układa według woli cadyka. Lecz oto w stanowczej chwili Gabryel występuje gwałtownie przeciw fałszywemu cudotwórcy, który na ciemnocie i fanatyzmie masy żydowskiej oparł swe, bynajmniej niebezinteresowne, panowanie. Nikt już teraz nie będzie zmuszał Perli do połączenia się z odstępcą, lecz teraz ona sama go nie opuści. „Z panem pracować... walczyć... cierpieć...“

W temacie „Cudotwórcy“, jak widzimy, mniej jest „aktualności“, niż w „Czystych rękach,“ są natomiast dramatyczniejsze sytuacye, żywy i porywający ruch akcyi, a nadewszystko więcej jakoś światła i przestrzeni, niż w kantorze, gdzie się sporządza fałszywe bilanse. Gra artystów wypełnia z pewnością niejedną lukę, wywołuje wrażenie prawdopodobieństwa i życia szeregiem drobnych rysów obyczajowych, uwydatnia komiczny pierwiastek wielu epizodów, uwypukla charaktery, niezawsze dość przejrzyste w ruchu, podnosi do potęgi dramatycznej sytuacye, w sztuce zaznaczone tylko, lecz nie rozwinięte... Zdajmy sobie np. sprawę z postępowania Gabryela. Wiemy, że Perla, wziąwszy na się posłannictwo apostołki, podsuwała mu „obce“ (nie żydowskie i nie święte) książki, jak np. Orzeszkową, — zapewno „Meira.“ W duszy jego rozpoczyna się ferment. Jaki? W czynach jego widzimy już tylko skutki, tak daleko sięgające, że wreszcie zapowiada dumnie: „Idę szukać prawdy, do której pani mi wskazała drogę, wprawić się i *dokończyć dzieła*, które dziś przez panią rozpocząłem.“ Ależ to skończony reformator! Swoją drogą, gdy w scenie egzorcyzmów cadyk ogłasza, że w Perlę wszedł „dybek,“ Gabryel na spółkę z starym chasydem Alterem woła w przerażeniu: „Panie świata.“ A oto bezpośrednio potem rodzi się w jego duszy zamiar buntu. Wierzymy zresztą, że mu nagle spada zasłona z oczu, że promień świadomości rozjaśnił błyskawicznie oddawna dokonywające się już przeobrażenie pojęć.„ Ten cadyk... te duchy nieczyste .. te cuda... Boże wielki! Jakiż ja dotąd *byłem ślepy i bez myśli*.“ Ale jeżeli olśniła go jasność objawienia, to skądże mu wiadomo, iż „cadyk trzęsie się cały, jak słup wielkiego *budynku, który ma runąć*.“ Aż tak? Więc już tak daleko posunął się jego sceptycyzm? Więc były już może jakieś ciche szepty pomiędzy wolnomyślniejszą młodzieżą? Więc nie było żadnego objawienia? — Można zapewne utracić nagle wiarę, jeśli jej korzenie nie są zdrowe i mocne, ale niepodobna jednym skokiem posunąć się na wyższy poziom wykształcenia. „W mojej duszy zamęt, zwierza się Perli młodzieniec, jak wówczas, gdy się nowy świat tworzy. Zresztą—czy my się rozumiemy? *Toż ja nawet nie mówię tym językiem, co pani.*“ Otóż właśnie przeobrażenie duchowo Gabryela jest tak błyskawiczne, że i sposób wyrażania się jego staje się nietylko poprawnym, lecz wprost wytwornym. Żadnej odległości między nim a Perlą już niema. Okoliczność ta wszelako obniża znacznie tragizm sytuacyi Perli. Tak łatwo przecież się z nią zrównał, a nawet przewyższył, więc niejedna efektowna scena jest tu zbyteczną.

Co do języka, nie wiadomo po co występujące w sztuce osoby kaleczą polską mowę. Przecież naprawdę porozumiewają się z sobą w żargonie.

Ujemne też sprawiają wrażenie na czytelniku, jakkolwiek dla widza mogą nie istnieć, reminiscencye literackie. Młodzi talmudyści, którym nie wystarcza scholastyka świętych ksiąg i którzy się skarżą: „gdzie oczy podniosę — zagadka, gdzie rękę wyciągnę — zasłona“; ich stosunek do Gabryela, odosobnienie kulturalne miasteczka, a wreszcie scena epilogowa — to wszystko rysy i szczegóły, przeniesione z „Meira Ezofowicza,“ tylko niedostatecznie zharmonizowane z sobą. Na dobitkę Gabryel, jak Meir, wyrusza w świat po zdobycie prawdy. Porównanie jednak z pierwowzorem wypaść musi na niekorzyść utworu Feldmanna. Scena końcowa nie posiada ani cząstki tej grozy, co u E. Orzeszkowej scena wyklęcia Meira i rokosz Eliezera, bo też cały podkład ideowy walki nie jest równie głęboki, jak tam. Izaak Todros był namiętnie przywiązany do *swojej* prawdy, i stąd płynie potęga i szczerość jego słów. Cadyk-cudotwórca to tylko oszust i kuglarz, otaczający się odpowiednio dobraną zgrają. *Takiego* przeciwnika obalić łatwo. To też nie dziwimy się, że przed Gabryelem cadyk ustępuje z pola „skulony, z wbitym w ziemię wzrokiem, jak sowa spłoszona blaskiem.“

Nie chciałbym jednak rozstawać się z autorem pod wrażeniem niedoborów jedynie. Na kartach tych ujęto niewątpliwie w żywym ruchu szmat życia. Oprócz przeświadczenia, że wiele rzeczy ze sceny odmienniej się przedstawia widzom, zapewnia mnie o tem i ta okoliczność, że po przeczytaniu ostatniej karty czytelnik chętnie powraca do tego lub owego ustępu, wynajdując tam coraz inne rysy i wykrywając strony dodatnie. Rzecz bezwartościowa nie mogłaby budzić takiego zajęcia.

A. Drogoszewski.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Aureli Urbański.

Przy końcu ubiegłego tygodnia drut telegraficzny między Lwowem a Warszawą odegrał dwukrotnie smutną rolę dzwonu pogrzebowego: dn 13 czerwca dowiedzieliśmy się tą drogą o śmierci cenionego poety i komedyopisarza, Aurelego Urbańskiego, a na drugi dzień zmarł, we Lwowie również, zasłużony historyk, Lucyan Tatomir

W zmarłym przedwcześnie (urodził się w r. 1844) Aurelim Urbańskim niezbyt liczna kolonia literacko-artystyczna stolicy Galicyi traci jedną ze swych wybitniejszych, a zarazem typowo charakterystycznych postaci. Zmarły poeta, przez urodzenie swe, wykształcenie szkolne i uniwersyteckie, urzędowanie wreszcie i działalność literacką, był ściśle związany z miastem rodzinnem, które przed laty przyjęło bardzo życzliwie wystawioną w teatrze Skarbkowskim jego czteroaktową

komedyę wierszem p. t. „Podlotek,“ a następnie zapewniło powodzenie i rozgłos dalszym jego utworom scenicznym. Z utworów tych, malujących przeważnie ujemne strony i różne drobne śmieszności życia galicyjskiego, największą wartość posiada dramat „Aktorka,“ a największą popularność zdobyły sobie w Galicyi krotochwile: „Pochód z pochodniami,“ „Po wystawie paryskiej“ i inne.

Urbański wydał również dwa zbiory utworów lirycznych: „Szare ptaszę“ w r. 1871 i „Utwory poetyczne“ w r. 1884. Tytuł pierwszego z nich jest może najlepszą charakterystyką autora, który, nie próbując wzlotów podniebnych, umiał się zdobyć nieraz na pełen naturalności i prostoty, przypominający trochę Syrokomlę, wyraz uczuć rzewnych i szczerych, jak np w znanym ogólnie wierszu p. t. „Sierotka.“ („Dlaczegoś, papo, tak czarno ubrany? Na gości czekasz dziś może? Sukienkę wdzieję nowiutką, w falbany, I włoski w loczki ułożę...“). Drugą kategoryę jego utworów lirycznych stanowią rzeczy zlekka humorystyczne lub przesiąknięte niezbyt zresztą gryzącą ironią, w których *a la* Heine lub Asnyk lubi odzywać się z przekąsem o ideałach niewieścich swej młodości, gdy, jak sam mówi: „Wierzyłem w miłość, w związek dusz i w serc nieziemskie związki; wzdychałem jęcząc, rwałem włos— dla pierwszej lepszej gąski...“ A teraz — kończy wiersz inny: „Widzę przy mężu ją tam, utyła nawet dość znacznie! Rumieńce zawsze ten sam, A jadła smacznie — tak smacznie. Spojrzy... Zaśmiała się w głos: Ach, mój konkurent z przed laty! Przysuń-no, mężu, tu sos i podaj panu sałaty...“

Urbański tłomaczył również wiele dla sceny, między innemi „Aryę i Messalinę“ Wilbrandta i „Wesołe kumoszki windsorskie“ Shakespeare'a.

Lucyan Tatomir.

Zmarły w 71 roku życia historyk i geograf znany jest bardziej, jako autor popularnych, przystępnie i barwnie pisanych podręczników do nauki dziejów ojczystych, niż jako badacz samodzielny. Pierwsza jego praca literacka, szkic historyczny o Wierzynku („Mieszczanin krakowski z XIV wieku“) ułatwiła mu w r 1861 stosunki z wydawcą *Dziennika literackiego*, zmarłym już również Karolem Wildem, i zbliżyła do takich wybitnych jednostek, jak Kornel Ujejski, Karol Szajnocha i in., którzy wywarli wpływ poważny na dalszy rozwój umysłowy początkującego pisarza. Przez czas krótki wydawał we Lwowie pisemko popularne p. n. *Mieszczanin polski*, następnie zaś poświęcił się całkowicie pracy pedagogicznej i popularyzatorskiej w zakresie historyi i geografii ojczystej. Pierwszym poważniejszym owocem pracy w tej dziedzinie była posiadająca dziś jeszcze wartość naukową „Geografia ogólna i statystyka ziem dawnej Polski,“ uzupełniona następnie przez podręcznik do nauki geografii Galicyi.

Lecz najbardziej rozpowszechnioną i najlepiej znaną pracą Tatomira, stanowiącą poważne i zarazem dostępne dla młodzieży i osób mniej wykształconych źródło wiedzy o przeszłości narodu i kraju, jest jego „Skarbniczka dziejów i rzeczy polskich,“ której część pierwsza obejmuje „Etnografię fizyczną Polski,“ część druga zaś — sam wykład „Dziejów Polski, potocznym sposobem opowiedzianych,“ jeden z ulubionych podręczników do nauki historyi polskiej.

Oprócz prac powyższych, Tatomir pozostawił po sobie kilka, popularnych również, monografij historycznych i literackich, pisał o Słowianach południowych, był współpracownikiem pism warszawskich i lwowskich wydawnictw naukowych, napisał wreszcie „Przegląd najnowszych podróży i odkryć geograficznych.“ Chociaż, oddany całkiem pracy naukowej, trzymał się zdala od miejscowych walk partyjnych, działalność jego w swoim czasie przyczyniła się niewątpliwie w pewnej mierze do umysłowego odrodzenia Galicyi — i to poczytane mu będzie za jedną z największych zasług.

Wł. B.

POEZYE

Dzień duszy.

Pamięci
JANA FRANCISZKA MILLET A.

I.

Że zapracować sobie potrzeba pogodę
I ciszę jasną, ucz się, duszo, od wsi cichych,
Od starych, krzywych pługów i lepianek lichych,
Co mieszczą już dziesiąte pokolenia młode.

Bo ich starości mądrość dostojna jest złotem.
A że kto ziemi wiernym być umiał, ten boży:
Niech ci chłop namuloną dłoń na czole złoży
I pomaże cię świętym utrudzenia potem.

I ślubuj twardej pracy wieczne niewolnictwo,
Co nie jest jarzmem, jeno dumą i nadzieją
Na szczęsne, zasłużone spoczynku dziedzictwo.

A kiedy w bezczynności znużenia zadrzemiesz,
Przyśni ci się i pracę przypomni ci lemiesz,
Boś jest z tych, którzy dzieło ukończyć umieją.

II.

Błogosławiona chwila wieczornej godziny,
Gdy już ustają trudem znużone ramiona,
Gdy pod ciężarem snopów skrzypią wozów dzwona
A koła żłobią bruzdy głębokie wśród gliny;

Gdy jutra czeka zwleczon z szopy pług i brona,
I ciemnemi skrzydłami wiać przestają młyny,
Gdy syte bydło pędzą do obór dziewczyny,
A krowy mają mlekiem brzemienne wymiona:

Wtedy nagrodę bierze każdy trud człowieczy,
Ziemia swą wdzięczność daje za znój ludzkiej [pieczy.
—Kto pracował w winnicy, nie jest bez zapłaty.

Wtedy bezczynna dusza moja krzepi ręce
Na twardy trud i marzy dożynkowe wieńce
I jakiejś wielkiej pracy zbiór bujny, bogaty.

III.

W żywiczną zieleń sosen mojej biednej strzesze
Stroję czoło, choć krzywa, zapadła i chroma.
W wnętrzu jej rościelona rozzłoci ją słoma,
Ściany jej polnych kwiatów woniami owieszę.

Dusza ma w dom swój wraca z błąkań, a w uciesze,
Bo z plonem cierpliwego dnia pracy. Rękoma
Zakrywa zawstydzone oczy, bo się sroma,
Że tak nieufnie wiodła na rolę lemiesze.

Prowadzą ją mych tęsknot swaty dziewosłębie.
Znużona szczęściem pracy wiedzie w dom naj- [cichsze,
Pogodne dziecię — radość — chwil dobrych pod- [rzutka.

I jak kmieć po roboczym dniu, na chaty zrębie
Siada, patrząc z pogodą, jak pora dnia krótka
A pilna—złotem ziarnem napełnia jej śpichrze.

IV.

Może kiedyś po długich dniach cierpliwej pracy,
Otworzywszy szeroko mej chaty zawory,
Patrzeć będę na pełne stodoły, obory
Z sercem pogodnem, kornem, jak pańscy pro- [stacy.

I kiedy słońce chować będzie się za lasy,
Zwołam was wszystkich do mnie, tu przed wro- [ta moje,
Łaknącego nakarmię, spragnionych napoję
I otworzę przed wami wszystkie me zapasy.

I błogosławić będę każdemu, kto wchodzi
Pod dach mój z prośbą. Bierzcie! Dla was pra- [cowałem!
A kto beze mnie bierze, nie jest mi jak złodziej!

Mnie starczy dobre słowo od was i kęs chleba
Jam szczęśliw, żem nauczon przestawać na małem
I że mi tych dobytków wszystkich nie potrzeba.

Leopold Staff.

SPRAWY EKONOMICZNE

KLĘSKA.

Stwierdzony w ogólnych zarysach dotkliwy nieurodzaj ozimin w całym kraju daje się już obecnie obliczyć w przybliżonych cyfrach. Klęska z niewielkim wyjątkiem, dotknęła kraj cały. Oziminy przepadły prawie zupełnie, tak dalece, że musiano zaorać połowę pól, zasianych tem zbożem. Na zaoranie całkowitych przestrzeni rolnikom zabrakło już czasu i środków na kupno nasion. Jak zwykle w chwilach ciężkich, korzystają spekulanci, od których nasz rolnik dotychczas nie jest jeszcze wolny. Widząc krytyczne położenie ziemian, podnieśli oni ceny nasion i jeszcze bardziej pogorszyli położenie. Jest to dowód, że syndykaty rolne jeszcze się nie rozwinęły i nie wzmocniły do tego stopnia, ażeby mogły zabić pośrednictwo i spekulacyę. Klęska przybiera tem groźniejszą postać, że się rozpostarła na szerokich przestrzeniach, nietylko u nas. Oto np. informacye *Dziennika Poznańskiego*: Czego nie zniszczył mróz bez śniegu w ciągu zimy, panująca na wiosnę długa susza w tej chwili doniszcza. W ogrodach giną jarzyny, marnieją okopowizny, na których właśnie opiera się rolnictwo miejscowe. Tymczasem obliczenia statystyczne, przedstawione rządowi przez hr. Schwerina, przewodniczącego krajowemu kolegium ekonomicznemu, dostarczyły prawie przerażających zestawień. Z obrachunków tych wynika, iż skutkiem wymarznięcia zbóż ozimych Prusy straciły blizko 300 milionów marek w pszenicy i życie, czyli w zbożu, dającem chleb. W tych stratach przodują prowincye polskie. Prusy Zachodnie straciły niemal 55 milionów, na Poznańskie zaś przypada 46 milionów, a Śląsk jest także silnie zagrożony klęską głodową (zajmuje czwarte miejsce w statystyce urzędowej po prowincyi Saskiej). Przeszło milionowa ludność polska, zamieszkała w Górnym Śląsku, najwięcej ucierpiała.

Jakież są środki ratunku? Kanclerz wydał rozporządzenie, zalecające ministrom, ażeby wobec groźby chwili obecnej zapewnili rolnictwu pomoc państwową. Kolegium ekonomiczne nakreśliło już cały szereg żądań. *Frankfurter Zeitung* podaje następujące najważniejsze źródła ratunku: 1) Wydawanie zapomóg na zasiew, paszę i t. d. dla drobnych rolników, którzy wykażą, że nie mają środków i możności do walki z klęską. 2) Pożyczki długoterminowe na mały procent. 3) Zniżenie taryf kolejowych na wszystkie produkty rolne. 4) Zniżenie taryf od przewozu bydła. 5) Zbiórka w lesie za zniżoną opłatą. 6) Odroczenie rat włości rentowych. 7) Wydawanie z magazynów prowiantowych owsa po cenie kupna w większych ilościach. 8) Odręczne wydawanie z tych samych magazynów żyta i koniczyny.

Środki te w pewnej mierze mogą służyć za wskazówki i dla naszych rolników. Na majowem posiedzeniu sekcyi rolnej poruszono już tę ważną sprawę, która żywo

obchodzi ludność wielomilionową. Obecnie zaś, dn. 14 czerwca, na posiedzeniu Warszawskiego Towarzystwa rolniczego poruszono ją specyalnie i zapoczątkowano szereg środków zaradczych. Przedewszystkiem uznano za rzecz niezbędną ulgi w wydatkach na spłatę rat i podatków. Według dowodzeń pp. Macieja ks. Radziwiłła i Janusza Śliwińskiego, uzyskanie tych ulg jest rzeczą całkiem możliwą. Oto motywy: Na zasadzie ustawy Towarzystwa Kredytowego ziemskiego z r. 1888, komitet tej instytucyi ma prawo przyznawać stowarzyszonym ulgę w opłacie rat podczas takich klęsk, jak np. nieurodzaj obecny. Ulgi te zależą od rozmiarów klęski. Jeżeli stowarzyszony traci skutkiem klęski połowę dochodu całorocznego, albo musi na gospodarstwo wydać sumę, równą tej połowie, to komitet rozkłada mu jedną lub dwie raty na cztery półrocza. Jeżeli stowarzyszony traci dochód całoroczny, lub wkłada taką sumę, to komitet rozkłada mu jedną albo dwie raty na 12 półroczy. Jeżeli stowarzyszony traci dochód z dwu lat, może uzyskać rozkład na tyle półroczy, ile pozostaje mu do umorzenia całkowitej pożyczki. Ulga ta może być stosowana tylko w razach wyjątkowych, a przytem utrudnia uzyskanie ulgi nowej, w razie klęski powtórnej.

Władze Towarzystwa dotąd jeszcze nie posiadają dokładnych danych o rozmiarze klęski, a przecież jest to rzecz niezbędna. Dotąd jednak na ogół już wiadomo, że dorównywa ona klęsce z r. 1889, w którym ulgi przyznane wyniosły około 2 milionów rubli. Co do ulg tegorocznych, sprawa ta niewątpliwie będzie rozstrzygnięta na pierwszem zebraniu komitetu w sierpniu r. b.

W sprawie ulg podatkowych istnieją warunki, ułożone na zasadzie Ukazu do b. komitetu urządzającego w Królestwie Polskiem z dn. 11 lutego 1871 r. Mianowicie w razie klęski rolnicy mogą otrzymywać ulgi w opłacie podatków podymnego i gruntowego według następujących przepisów (podajemy w streszczeniu): 1) Jeżeli rolnicy w razie nieurodzaju lub innych klęsk nie mogą wnieść podatków w terminach przypadających, mają prawo udawać się do miejscowych izb skarbowych lub bezpośrednio do gubernatora z prośbami o zadecydowanie zwłoki lub rozłożenie na raty opłat podatkowych i zaległości. 2) Co do tych próśb, Izba skarbowa zbiera odpowiednie wiadomości i przedstawia podania te ze swoją opinią gubernatorowi. 3) Gubernator albo rozstrzyga sam, albo przedstawia sprawę ministeryum skarbu, stosując się do przepisów następujących: 4) Gubernator w razie zgodności z opinią Izby skarbowej może decydować własną władzą: *a*) odroczenie w opłacie podatków i zaległości z wstrzymaniem środków egzekucyjnych na termin, nie przewyższający 30 dni; *b*) rozłożenie na raty w przeciągu najwyżej jednego roku, i to takich opłat, które wynoszą nie więcej nad 100 rb. jednorazowo od jednego właściciela majątku lub gromady wiejskiej i przytem, jeżeli majątek posiada hypotekę, to tylko takich zabezpieczonych na hypotece opłat, którym zapewnione są przywileje na mocy art. 41 ust. hyp. z r. 1818. 5) Jeżeli gubernator nie zgadza się z opinią Izby skarbowej, albo jeżeli potrzeba zdecydować odroczenie i rozłożenie na raty w rozmiarach, przewyższających sumy powyżej oznaczone, to przedstawia sprawę ministrowi skarbu ze swoją opinią i wnioskiem Izby skarbowej. 6) Minister na przedstawienie gubernatorów może wstrzymać środki egzekucyjne, ale najdłużej na rok jeden i decydować rozkładanie na raty takich należności skarbowych w okresie, wynoszącym nie więcej nad lat 10 przy dostatecznem zabezpieczeniu. 7) O odroczeniach i rozłożeniach na raty, przekraczających terminy powyższe, minister skarbu przedstawia do komitetu ministrów. 8) Zarówno przy odroczeniach, jak i rozłożeniach na raty, pobiera się 5% od sumy zaległej za cały czas jej płacenia, z wyjątkiem zaległości podatków włościańskich, które ściągają się bez doliczenia procentów. 9) W razie konieczności udzielenia ulgi we wnoszeniu podatków, skutkiem powodzi, gradobicia i pożarów, postępuje się w ten sposób, jak w powyższych artykułach, z tą tylko różnicą, że przy decydowaniu odroczeń lub rozłożeń na raty, z powodu tych klęsk, nie wymaga się żadnych zabezpieczeń i nie ściąga się żadnych procentów za czas odroczenia lub rozłożenia.

Jak widzimy, zarówno co do ulg w spłacie rat Towarzystwa kredytowego, jak i podatków skarbowych, istnieją już gotowe i jasne przepisy; należy tylko przedsięwziąć odpowiednie zabiegi. Sprawą tą ma się zająć Warszawskie Towarzystwo rolnicze. Szanse ulg są tem większe, że generał - gubernator warszawski zwrócił się do wszystkich Towarzystw rolniczych o wskazanie środków pomocy skutecznej dla rolników. Podania powinny być odpowiednio umotywowane wyszczególnieniem rozmiarów klęski. Otóż w tym celu Warszawskie Towarzystwo rolnicze postanowiło rozesłać ziemianom kwestyonaryusz stosowny, na który powinny być przysłane odpowiedzi w ciągu miesiąca. Na podstawie tego materyału będzie opracowany memoryał i przedstawiony władzom właściwym.

Z innych środków niezbędne są jeszcze ulgi taryfowe na przewóz słomy i siana z niektórych guberni Cesarstwa, tudzież ulgi na przewóz bydła, wysłanego na przezimowanie do okolic, posiadających paszę. Sprawami temi zajmie się także Warszawskie Towarzystwo rolnicze.

Wreszcie stwierdzono, że wobec braku paszy należałoby nałożyć pewne hamulce na wywóz otrąb za granicę.

Niezmiernie jest pożądany kredyt tani, ale tego środka niepodobna uzyskać doraźnie, w roku klęski. Natomiast, jak słusznie zaznaczył p. S. Dzierzbicki, możeby się dało wyjednać wznowienie kredytu na owce, którego dawniej udzielał Bank państwa.

Dodajmy, że wszelkie ulgi i środki, wywołane klęską nieurodzaju, powinny dotyczyć nietylko właścicieli folwarków, lecz i włościan, dla których pomoc może jest najpilniejszą. *Zen. Piet.*

KRONIKA.

Jarmark na inwentarz. W rolnictwie naszem panuje wszechwładnie żelazne prawo raty Towarzystwa, obok wystawowej kokieteryi. Ponieważ obecnie Lublin skupił na wystawie większość hodowlano-rolniczych pretensyj, więc warszawscy gospodarze tutejszego jarmarku na inwentarz nie uważali za stosowne wywiązać się z zadania. Zagranicznych kupców, zwłaszcza Niemców, którzy się u nas w konie zaopatrują, nie zawiadomiono o dniu licytacyi wcale, a krajowym dostawcom wyznaczono aż kilka terminów. W rezultacie, z dużym nakładem wyhodowane egzemplarze inwentarza gospodarskiego, przyjechały na kilka dni—zobaczyć Warszawę, nie sprzedano ich bowiem.

Kuryer Warszawski udziela gospodarzom jarmarku bezstronnej rady, aby na przyszłość na ogłoszenia „nie żałowali,“ my dodamy radę, żeby przeciwnie, pożałowano kieszeni hodowców krajowych i nie zmuszano ich do bezcelowego nakładu transportowego oraz wyrzucenia dziesiątków rubli w Warszawie.

Wiadomości społeczne. Ministerya spraw wewnętrznych i skarbu wyjaśniły, że sumy pieniężne, posyłane pocztą, nie mogą ulegać zajęciu na pokrycie zaległości podatkowych z mocy art. 53 ustawy o ściąganiu podatków od włościan.

— Z powodu napływu Żydów do Port-Arturu, gubernator okręgu kwantuńskiego zabronił im przybywania do powyższego okręgu.

— Rektorem uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie wybrany został prof Edward Janczewski, znany badacz fizyologii roślin.

— Bibliotekarzem księgozbioru ordynacyi hr. Krasińskich został dr. Józef Kallenbach, b. profesor uniwersytetu fryburskiego, badacz dziejów literatury polskiej.

— W Berlinie, wzorując się na francuskiej „Alliance Israelite,“ powstał nowy związek Żydów niemieckich. Zadaniem jego będzie między innemi pomoc Żydom, mieszkającym na Wschodzie europejskim.

— Kupcy krakowscy zebrali się przed tygodniem na naradę, na której omawiano sposoby zerwania stosunków handlowych z Niemcami a zawiązania ich z Anglią. Sprawa ta nie została załatwiona pomyślnie z powodu nieprzychylnej zamiarowi postawy kupców lwowskich. Krakowscy sami są za słabi do podobnej walki z Niemcami.

— Senat brukselski zabronił pod karą gier hazardowych. Przedsiębiorstwa w Spaa i Ostendzie otrzymały przedłużenie przywileju gry do końca października r. b.

Szkoły. Komisya, pracująca nad reorganizacyą szkół średnich, na posiedzeniu z d. 18 b. m. pod przewodnictwem ministra oświaty, uchwaliła, jak donoszą telegraficznie *Gazecie polskiej*, ażeby uczniowie, kończący gimnazya realne, mieli prawo wstępować na wydział medyczny, po złożeniu egzaminu z łaciny w zakresie 4-ch klas. Reforma ta ma być wprowadzona tytułem próby na lat pięć.

Z Galicyi. Dzienniki lwowskie donoszą, że d. 4 czerwca w Strzelicach Nowych, w pobliżu Bóbrki, wynikła gwałtowna bójka między włościanami przybyłymi na jarmark a tamtejszymi Żydami, skutkiem kłótni przekupki żydowskiej z wieśniaczką. Żandarmi użyli bagnetów do rozpędzenia tłumów, raniąc kilku włościan.

— We Lwowie aresztowano Kaczorowskiego, obwinionego o kradzież 14,000 koron z funduszu przeznaczonego na wydawnictwo książek szkolnych.

H. K. T. W Gdańsku przed Izbą karną toczy się proces przeciw księdzu Tyczyńskiemu, proboszczowi ze Starzyna, oskarżonemu o rozmyślne nieodmawianie modlitwy kościelnej za cesarza, za państwo niemieckie, za walczące w Chinach wojsko, oraz wygłaszanie kazania po polsku, wbrew przepisom. Denuncyował go nauczyciel miejscowy, Niemiec Splett, który odmawia wszelkich wyjaśnień, tłomacząc się tajemnicą służby. Sąd sprawę przerwał i zwrócił się z zapytaniem do regencyi, czy pozwoli zeznać Splettowi, jakie pobudki skłoniły go do denuncyacyi księdza.

— W Hucie Królewskiej na Śląsku, podczas uroczystości poświęcenia sztandaru, członkowie polskiego Kasyna urządzili teatr amatorski. Policya zabroniła rozlepiania na ulicach ogłoszeń w języku polskim, nakazując, by każdy, biorący udział w polskim teatrze, miał osobne zaproszenie i z niem przybył na salę.

Jubileusz. Uniwersytet w Glasgowie obchodzi w tym roku 450-ą rocznicę swego istnienia. W wieku XVIII był ogniskiem t. zw. „szkoły szkockiej,“ której przywodził Tomasz Reid. W czasach współczesnych szczyci się wielu uczonymi, głównie przyrodnikami.

Przeciw oświacie. Na posiedzeniu rady m. Torunia obradowano nad budową gmachu uzupełniającej szkoły fachowej w celu uprzystępnienia jej kobietom. Burmistrz toruński, dr. Kersten, protestował w tych mniej więcej słowach, podanych przez *Gazetę toruńską*: „Jestem zdania, że taka szkoła nie jest potrzebna, przeciwnie, zaszkodziłaby jeszcze. Brak personelu służbowego jest wielki, a gdyby żeńskiej służbie dano sposobność kształcenia się dalszego w szkole przemysłowej, to wszystkie służące uczęszczałyby do niej, a brak posługi tylkoby się zwiększył.“

Ruch kobiecy. Przed komisyą egzaminacyjną męskiego gimnazyum św. Anny w Krakowie znowu w tym roku stanęły do egzaminu dojrzałości wychowanki prywatnego gimnazyum żeńskiego, zosta-

jącego pod dyrekcyą znanego pedagoga, radcy Br. Trzaskowskiego. Z liczby 18 zdających 16 otrzymało świadectwa dojrzałości, z tych 4 z odznaczeniem. Drugi to już zastęp maturzystek wypuszcza w świat szkoła gimnazyalna krakowska. Z przeszłorocznych przeważna liczba uczęszcza na uniwersytety we Lwowie i w Krakowie w charakterze zwyczajnych słuchaczek; tegoroczne również mają zamiar poświęcić się studyom uniwersyteckim.

— W Krakowie komitet redakcyjny pod przewodnictwem panny Maryi Siedleckiej wydaje pismo dla kobiet wiejskich p. t. *Przodownica*, które wzięło sobie za zadanie „w popularnych artykułach historycznych, ekonomicznych, rolniczych, tudzież przez odpowiednie powiastki, wiersze, przez różne krótkie wskazówki praktyczne, odnoszące się do wychowania dzieci, prowadzenia gospodarstwa domowego itd., kształcić i uszlachetniać dusze, serca i umysł kobiet wiejskich, co nie przeszkadza, że i mężczyźni znajdą tam dla siebie wiele pożytecznych i zajmujących rzeczy."

— W Berlinie (Burggrafenstrasse, nr. 17) otwarto szkołę dla dziewcząt z programem, odpowiadającym zakresowi nauk gimnazyum Goethowskiego dla chłopców w Frankfurcie.

— Na czele jednego z największych towarzystw omnibusowych w Londynie stoi kobieta. Ona godzi, płaci i ze służby odprawia wszystkich woźniców i konduktorów.

— W Vermont (Stany Zjednoczone Ameryki Pół.) trzy kobiety zamianowane zostały na urzędy publiczne: skarbnika miejskiego, bibliotekarza i notaryusza.

Moralność. Sąd przysięgłych w Tropawie na Śląsku skazał 14-letnią Julię Englisz, za złodziejstwo popełnione i zamierzone, na trzy lata ciężkiego więzienia. Przestępstwo polegało na tem, że dziewczyna rówieśnicy swojej wydarła raz kawałek bułki, a drugi raz chciała to samo uczynić. Podobne wypadki zachodzą często między dziećmi, które na głód są zazwyczaj wrażliwsze, niż dorośli.

Zmarli. Ludwika z Głowackich Groplerowa, wdowa po przemysłowcu. Mieszkając w Bebek, nad Bosforem, przyjmowała w swym domu gościnnie Polaków, których los do Turcyi zapędził. Między innymi gościł u niej Mickiewicz.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu J. W. Obszernych podręczników niema, ale dla początkującego wystarczą: „Motyle," przez W. U., nakład Dubowskiego, Warszawa: „Wskazówki dla zbieraczy roślin i owadów," broszurka Łosia. Najlepsze podręczniki, traktujące o zbiorach przyrodniczych, znajdzie Pan w języku niemieckim.

Pani Prószyńskiej. Drukować nie będziemy.

Do nabycia w Administracyi Prawdy książka prof. ***Jerzego Jellinka***

Prawo mniejszości,

przekład S. Posnera, z przedmową A. Świętochowskiego.

Cena 20 kop. z przesyłką 30 kop.

Świeżo wyszła książka

R. Bettena

Hodowla kwiatów w pokoju

z ilustracyami. Autor, znakomity ogrodnik sam przeprowadził pokojową hodowlę roślin praca więc jego jest oparta na doświadczeniach ścisłych. Jest przytem jasna, gruntowna i bogata we wszelkie rady praktyczne zarówno dla miłośników w mieście, jak na wsi.

Cena rb. 1 kop. 50, z przesyłką rekomendowaną rb. 1 kop. 70.

Skład główny w Administracyi „Prawdy."

Administracya *Prawdy* otrzymała na skład 200 egz. książki

W. Sieroszewskiego

12 lat w kraju Jakutów.

Cena 3 rb.

(Nakładem drukarni Fr. Karpińskiego. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka).

Pragnący nabyć tę książkę abonenci zamiejscowi *Prawdy*, prenumerujący bezpośrednio w naszej administracyi, kosztów przesyłki pocztowej nie poniosą.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою Варшава, 8 Іюня 1901 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.